



KRZYSZTOF BONK

TYRANIA

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

TYRANIA

Cykl Pendorum IV

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-950-0
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I.WOJNA Z CESARSTWEM TERRATICOS

Moja sala tronowa w twierdzy zamku Skalna Wieża jest bardzo przeciętną komnatą. Posiada kształt prostokąta i poza moim siedliskiem, które nie jest nawet na podwyższeniu, nie zawiera praktycznie niczego innego. Znajduje się tu wyłącznie wolna przestrzeń oświetlana przez wąskie, wysokie okna pozbawione zdobnych witraży. Dominuje tu szarość i mrok, a także chłód bijący od kamiennych ścian.

I te surowe wnętrza obecnie jak najbardziej koresponduje z moim własnym. Bowiem na ten czas staję się wyjątkowo zimna i wyrachowana, wiem, że to niezbędne. Doskonale już rozumiem, że kluczem do przetrwania będą bezwzględność i brak skrupułów, jak również odważne i zdecydowane ruchy uprzedzające działania moich przeciwników.

Wszak w tej morderczej rozgrywce ciągle muszę pamiętać o jednym, co znacząco wiąże mi ręce w odniesieniu do niecnych poczynań. Mianowicie, aby dokonać niemożliwego i zjednoczyć pod swoim władaniem kontynent Pendorum nie mogę popełnić żadnego z dziesięciu grzechów mitycznej Anrei. W tym względzie muszę ponad wszystko zachować czystość, bo inaczej ma odwieczna klątwa mnie samą weźmie w swe szpony i ponownie porwie w bezdenną otchłań.

– „Raport o stanie wojska” – wydaję polecenie, zasiadając na tronie naprzeciw moich kompanów podczas kolejnej narady. Głos zabiera zarządca, Gabu:

– Ściągamy najemników, skąd się da... A płacimy im tym, co uda się zdobyć Adorze z handlu zdobyczną bronią, odzieżą, a ostatnio również drewnem i dziczyzną z okolicznych lasów. Ale...

– „Ilu mam pod swoim rozkazami ludzi i w jakich formacjach”? – Naciskam na zarządcę, aby przeszedł do sedna sprawy, ponieważ nie czas na zbędne detale.

– Trzystu ludzi, to cała nasza obecna siła. W tym stu konnych łuczników, stu pięćdziesięciu piechurów i pięćdziesięciu przedstawicieli ciężkiej jazdy, Wasza Wysokość.

– „Tytuł jest zbędny” – Uśmiecham się lekko do Gabu, aby rozładować dość napiętą atmosferę. Na co odzywa się Exon:

– Wręcz przeciwnie, pani. – Kieruje te słowa do mnie. – Jako osoby panującej, twój majestat musi być podkreślany na każdym kroku. Jeżeli masz być w przyszłości władczynią całego kontynentu, wszyscy muszą okazywać ci szacunek. Inaczej nie znajdziesz należnego ci uznani wśród żołnierzy i prostych ludzi, swoich poddanych...

– „Niech tak będzie” – gestykuuję, choć me ruchy dłońmi są nad wyraz obojętne. Nie zależy mi na tytułach czy zbędnym splendorze, bowiem nie noszę w sobie grzechu pychy. Zaś jedyne, czego w tej chwili pragnę, to jakimś cudem obronić się przed nadciągającą na mnie armią cesarskiej Tiry. – „Jak daleko są od nas oddziały Terraticos”? – zapytuję.

– Zaledwie o trzy dni drogi stąd – oświadcza posepnie Exon i dodaje: – Ciągnie ku nam prawie dwa tysiące żołnierzy...

– „Wobec tego nie wyjdziemy w pole, musimy przyjąć oblężenie w zamku” – stwierdzam.

– Będzie z tym pewien kłopot, zważywszy na nasze mizerne zapasy żywności... – zauważa zakłopotany Gabu.

– „Na ile czasu wystarczy nam prowiantu podczas oblężenia”?

– Nie dłużej niż na dwa... może trzy tygodnie... – mówi smętnie zrezygnowany zarządca i z pewną nadzieją kontynuuje: – Choć Adora sugeruje, że nasze zaopatrzenie i handel wymienny mogłoby znacząco ulec poprawie, gdybyśmy nawiązali przyjazne relacje z pobliskimi Allearami...

– To wykluczone! – rzuca nad wyraz gromko Kalilla. – Mityczna Anrea powraca na świat, aby ukarać ten dumny i krnąbrny lud. To właśnie nasi najwięksi wrogowie. I nasza władczyni dała już temu wyraz, zabijając w walce ich wybrańca. W ten sposób uratowała przed niechybnym najazdem

serce Pendorum! – Kobieta z Razzinal klęka na jedno kolano i nisko skłania przede mną głowę, zaś w sali słychać pomruki aprobaty. Ja jednak przykuwam wzrok do stojącego z boku Zana. Ten pozostaje niewzruszony. Z kolei swoją uwagę ponownie przedstawia Gabu:

– Mimo wszystko to raczej szczęście, iż nie zostało rozgłoszone wśród Allearów, że to nasza Anrea zabiła ich przywódcę. Inaczej mielibyśmy teraz zapewne trzeciego wroga na kolejnym froncie.

– A może właśnie powinniśmy to rozgłosić i to wszem i wobec, aby zaskarbić sobie należną przychylność ludności władztw Pendorum – ripostuje ostro Kalilla.

– „Wystarczy” – ucinam tę dyskusję, ponieważ dotychczasowy status quo z Allearami, którzy ciągle są dla mnie pewną zagadką, mnie osobiście zadowala.

Po niedawnej wymianie zdań w komnacie zapada cisza, aż rozbrzmiewa w niej drwiący głos nieco beczelnie opartej o ścianę Viri:

– Żeby zdobyć środki na prowiant i armię, może ponownie powinniśmy zacząć grabić wioski...

– Napadać na karawany... – wtóruje łakomie partnerce Ravel.

– Wykluczone – odpowiada energicznie poruszona tą sugestią Adora. – W ten sposób prosty lud Pendorum, a także szlachetni panowie nas znienawidzą. Nie możemy być postrzegani jako plaga, a musimy, jako wybawiciele.

Wobec takiego stanowiska mężczyzna z chanatu zauważa:

– Inne władztwa jakoś nie robią sobie z tego problemu. I podczas wojny nawet honorowi lordowie z Salador potrafią bez litości gwałcić oraz grabić.

Wzrok wszystkich skupia się na mnie, tej, która ma za zadanie nieustannie rozstrzygać takie spory. Czynię więc kwaśny wyraz twarzy i zgodnie z moją powinnością, gestykuuję:

– „Nie będziemy więcej zabijać ani okradać chłopów czy kupców, to ostatecznie postanowione”.

W takim układzie Viria z partnerem spuszczaają zrezygnowani głowy, za to pozostali zdają się popierać moją decyzję. A zaraz pada w komnacie

moje pytanie:

– „Czy wiadomo już, kto jest teraz władcą królestwa Saladior i czemu tak ochoczo zawarł przymierze z cesarstwem, aby nas zaatakować”?

– Sprawa jest nader podejrzana i nadal ją badamy... – oznajmia zafrasowany Gabu, który z Adorą otrzymał zadanie szpiegowania ościennych władztw.

– „A co wiemy do tej pory”? – Pragnę uzyskać jakiegokolwiek informacji.

– Otóż... Po tragicznej śmierci króla Anrona... – Mój zarządca odwraca ode mnie wzrok: – Królewscy lordowie niespodziewanie wybrali na swego władcę niezwykle młodego mężczyznę za to majątnego i dobrze ożenionego z bliską kuzynką zmarłego monarchy... W każdym razie ze względu na jeszcze nie do końca odkryte przeze mnie związki krwi i pewne poszlaki, istnieje taka możliwość, że sojusz cesarstwa oraz królestwa będzie długotrwały...

– „Czy zauważono już nadciągające na nas wojska Saladior”? – zapytuję z duszą na ramieniu. Odpowiedzi udziela Exon:

– Na szczęście z północnej strony cały czas mamy spokojną granicę. Zapewne królewskie oddziały wciąż liżą rany po wielkiej bitwie i przegranej wojnie z cesarstwem.

Kiwam na zgodę głową i ozdabiam piegowatą twarz lekkim uśmiechem. Ponieważ podczas tej narady pada choć jedna dobra wiadomość. Gdy naraz strażnik informuje mnie, że przybywa poseł z wieściami od samego wielkiego chana. Zezwalam na jego niezwłoczne stanięcie przed moim majestatem imperator, po czym autentycznie zdenerwowana, spodziewając się kolejnych kłopotów, witam go przed sobą.

Ten przygląda się wręcz zde gustowany ubogiej sali i skromnie ubranym moim kompanom. Następnie aż z litością patrzy na mój tron, chustę na głowie zamiast korony i wreszcie na mnie samą w ubiorze gladiatrix. Można odnieść nawet wrażenie, że ten mężczyzna gotów jest zaraz parsknąć szczerym śmiechem. Jednakże zbiera się w sobie, odchrząkuje w dłoń i dumnie oświadcza:

– Mój pan, wielki chan Bulundur, przesyła ci, pani, życzenia wielkiej pomyślności... – Poseł kłania mi się nad wyraz nisko. – Ponadto nasz

światły władca spieszy donieść, że w trosce o byt młodego imperium chanat Precis niezwłocznie wypowiada wojnę cesarstwu Terraticos. Co więcej, nasze wojska już atakują pogranicze. – Na te niezwykle krzepiące wieści robię okrągłe oczy i składam dłoń na piersiach. Zaś posłaniec, w nieco frywolnym tonie, dodaje: – Wielki chan pragnie także oznajmić, że w niewysłowny wręcz sposób niezmiernie tęskni za rozkoszą twego ciała, pani... – Po tym obwieszczeniu wywracam oczy do góry, ponieważ wolałabym, aby akurat te wieści pozostały z dala od uszu moich kompanów. Natomiast przybysz, po krótkiej pauzie, tym raz w żałobnej tonacji, kończy swoją wypowiedź: – Nasz pan donosi również z wielkim smutkiem, że niespodziewanie bardzo zaniemógł na zdrowiu i według medyków jego dni w krainie Pendorum są już zapewne policzone...

W obecnych okolicznościach to prawdziwy cios. Ale kto, jak nie ja sama, za to odpowiadam? – myślę tak, po czym kończąc naradę, zdecydowanie oświadczam:

– „Ugośćcie posłańca z przyjaznego nam chanatu i niech niczego mu nie braknie. Jednocześnie zarządzam mobilizację wszystkich wojsk. Jutro, skoro świt, odbędzie się zbrojny wymarsz”.

*

Opuszczam wysokie mury zamku-twierdzy i muszę przyznać, że czynię to z nieskrywaną przyjemnością. Oto znowu doświadczam otwartej przestrzeni i jadę konno na czele swej armii, by walczyć o niezłomny cel – zjednoczenie Pendorum.

Mój plan na najbliższy czas jest dość oczywisty. Z królestwa Saladior ciągle nie napływają zbrojne oddziały, natomiast cesarzowa Tira, zgodnie z moim oczekiwaniem, większość swej armii zawraca na silniejszego wroga z chanatu. Dlatego sama wykonuję odważny manewr, poruszając się szybko w kierunku ziem cesarskich z zamiarem rozbicia mniejszych jednostek z Terraticos i tym samym wsparcia niespodziewanego sojusznika z Precis.

Jadę na czele siedemdziesięciu konnych łuczników Ravela, ponadto towarzyszy mi Exon z trzydziestką ciężkozbrojnej jazdy, a u mego boku mam jeszcze Kalillę z pięcioma dziesiątkami łuczników oraz Virię z taką samą ilością piechoty. Wszak jest tu jeszcze Zan z trzydziestką zakonników

na opancerzonych rumakach. Reszta wiernych mi żołnierzy pozostaje strzec mej jedynej twierdzy, a zarazem stolicy niewielkiego imperium.

Wkrótce Ravel powraca ze zwiadu i przynosi wieści, których oczekuję. Otóż w naszą stronę zmierza niczego nieświadoma grupa żołnierzy z Terraticos pod dowództwem dwóch znamienitych patrycjuszy. Liczebność wroga jest porównywalna z naszą armią, lecz ja dysponuję kluczowym elementem zaskoczenia i zamierzam z niego skwapliwie skorzystać. Jak bowiem powiada świątły Etos: „zaskakiwanie wroga to już połowa zwycięstwa”. Więc czas sięgnąć po całość – myślę i po wybraniu dogodnego terenu na przecięciu przemarszu armii cesarstwa, wydaję pierwsze rozkazy.

*

– Więc ta słaba na umyśle dziewczka, czy też raczej dziwka, właśnie! Zwykła ladacznica, po zniewoleniu twej osoby, raczyła cię wypuścić...? Ha! Cóż za ucieleśnienie prawdziwej głupoty w tym niewieścim ciele, Legusie!

– Zgadzam się tobą, zacny Damidosie... – oznajmia lekceważąco drugi z pary patrycjuszy, jadący konno na przedzie cesarskich wojsk. – Wspomniana osoba, zwana Matką Cień, jest... zaledwie cieniem monarchini, do którego to miana nieudolnie pretenduje... – Spluwa na zieloną trawę.

– Otóż zaprawdę masz rację, Legusie! Nie dorasta ona nawet do pięt naszej chwalebnej cesarzowej, Titrze, odrodzonej, mitycznej Anrei! Niech jej wielkość będzie po stokroć pozdrowiona! I niech za naszą sprawą jednoczy ona Pendorum!

– Racja, Damidosie... – A po drodze niech zetrze z powierzchni ziemi tę nędzną, piegowatą kreaturę, uzurpatorkę, która zapewne własnym ciałem przekupiła mężnych rycerzy Arezara, aby ją wsparli. Zaś powiadam ci, że zaciekle bój musiałem toczyć z całymi ich setkami, którym wcześniej musiała ona dogodzić...

– Ladacznica! Dziwka! Godna jedynie wbicia na pal! Choć komuś takiemu zapewne nawet obcowanie z zaostrzonym palem w swym kroczu sprawiłoby przyjemność, ha!

– Nie wówczas, gdy wyszedłby jej zaostrzonym drzewcem przez nieme, przekłete gardło... – chrypi Legus. – I zaprawdę takiego jej końca zamierzam doczekać i osobiście się do niego przyczynić...

– Oczywiście, drogi przyjacielu. Dlatego ja, Damidos, wyruszyłem z tobą, by spalić jej jedyną wioskę w tym jej nędznym imperium. Tę samą, która tyle lat była twoja, ha!

– Nie dbam o te kilka zbitych ze sobą drewnianych belek ani w tych nędznych siedliskach ich mizernych mieszkańców. Boska Tira odda w moje władanie zamek-twierdzę Skalną Wieżę, a to będzie dopiero początek jej hojnych darów...

– Ha, Legusie! Czyż nasza przyszłość u boku cesarzowej Tiry nie rysuje się doprawdy wspaniale?! – Patrycjusz wskazuje dumnie rękę przed siebie, gdzie droga prowadzi przez podejście pod dość strome wzniesienie z gęstym lasem po obu stronach. Gdy wtem na szczyt wyniosłości terenu wkracza w szerokiej linii grupa kilkudziesięciu ludzi. – Co to za zgraja wieśniaków...? – zapytuje lekceważąco Damidos.

– Nie widzę z tej odległości... Może to zbuntowani chłopci...? Ostatnio cesarzowa słusznie podniosła im podatki, a niewypłacalnych całymi setkami bierze w niewolę. Bardzo słuszne posunięcie, ale niektórzy wieśniacy wszczęli bunt.

– Zatem utopmy we krwi buntowników! – krzyczy radośnie Damidos i spogląda porozumiewawczo na Legusa. Ten kiwa mu twierdząco głową i zaraz trzy dziesiątki cesarskiej, średnio opancerzonej konnicy, rozpoczyna szybkie podejście pod górę z zamiarem ataku.

Naraz z przodu dobywa się krzyk mężczyzn i paniczne rzenie rumaków, a wokół świszczą strzały.

– Wieśnicy mają łuki! – drze się na to wyraźnie zbulwersowany Damidos. – Pewnie w podarku od tej władczyni łachmaniary z imperium! – Wstaje w strzemionach, odwraca się w kierunku większości swoich żołnierzy, legionistów oraz kuszników, po czym gromko krzyczy: – Wszyscy do ataku na buntowników! Szarża! Mężczyzn wybić w pień! Kobiety zniewolić i zgwałcić! Przy czym ja, Damidos, gwałcę jako pierwszy!

Wojsko cesarskie w beładnej masie rusza do przodu, a wraz z nim, w zbrojnej rzece, także dwaj dowodzący patrycjusze, oni zaś konno i z obnażonymi mieczami. W tym czasie większość posłanej przodem konnicy Terraticos zostaje wybita, zanim osiąga szczyt wzniesienia, a reszta spychana jest do tyłu i dobijana przez wyrosłe jak spod ziemi zwarte szeregi piechoty.

– Tych wieśniaków jest całe mrowie, a ich widły wyjątkowo zabójcze! – zauważa nagle zbity z tropu Damidos. A wtóruje mu ponuro Legus:

– I są wyjątkowo dobrze wyszkoleni jak na wieśniaków... – Z kwaśną miną wstrzymuje konia. Bowiem czołówka legionowej piechoty właśnie zderza się na wzniesieniu z wrogiem, lecz z powodu gorszej pozycji spychana jest z powrotem ku dołowi. Ponadto ścisnięci między lasami na drodze kusznicy stoją bezradnie, nie mogąc skutecznie rozwinąć szyku.

– Co robimy?! – rzuca już na dobre zdenerwowany Damidos, obserwując potyczkę, która dla jego wojsk przyjmuje coraz bardziej dramatyczny obraz. – Przecież nie mogą pokonać nas w walce zwykli wieśniacy!

– To chyba nie są zwykli wieśniacy... – cedzi przez zęby Legus i wskazuje mieczem na tyły wojsk cesarskich, na które w formacji klinowej szturmują ciężka jazda zakonna Arezara. Następnie z obu stron lasu pomykają łucznicy konni i w mgnieniu oka neutralizują kuszników, po czym dobierają się do cesarskiej piechoty.

*

Po przeszyciu strzałami gardeł kilku żołnierzy z Terraticos zarzucam łuk na plecy. Przebieram się w dwa miecze i szturmuję bezpośrednio grupę cesarskich piechurów, którą od tyłu dosłownie masakrują zakonnicy Arezara. Siedząc na koniu, tnę z góry ostrzami w cesarskie hełmy i ramiona. Aż naraz zostaję draśnięta w nogę. Wtedy cofam rumaka, zeskakuję na ziemię i mając pewny grunt pod stopami, atakuję dalej!

Paruję uderzenie mieczem i wyprowadzam cios krótkim ostrzem w masywną tarczę, zaś drugim orężem w dłoni dosięgam gardła przeciwnika. Kopię z impetem już prawie trupa, a ten leci na przerażonych kamratów. Rzucam się na nich z zawziętością i tnę po oczach, to w torsy i szyje.

Raptem odwracam się i szlachtuję parskającego za mną rumaka, po czym przeszywam w locie, spadającego, wrogiego jeźdźca. Wyjmuję z jego trzewi miecz w prawdziwej fontannie krwi, która rozbryzguje się wszędzie na boki i szukam sobie kolejnych przeciwników. Tych na palcu boju błyskawicznie ubywa, albowiem rzeź cesarskiego wojska jest nieopisana.

*

– To oni, patrycjusze – mówi do mnie unurzany we krwi Exon, pokazując mieczem na dwóch klęcząc mężczyzn. Wbijam wzrok w jednego z nich i marszczę brwi, rozpoznając go. – Tak, to zdrajca Legus... – stwierdza mój dowódca ciężkiej jazdy. – A ten drugi koło niego to niejaki Damidos – dodaje.

Przenoszę wzrok na nieznanego mi cesarskiego dowódcę. Ten ozdabia swą twarz wręcz promienistym, ale ze wszech miar nieszczerym uśmiechem i pogodnie oświadcza:

– To prawdziwy zaszczyt, o wielka pani, zostać pokonanym przez tak wspaniałą wojowniczkę, jak ty! Zaiste to honor i chwała także po naszej stronie!

Na te słowa wykrzywiam twarz jeszcze mocniej, podchodzę do wypowiadającego się mężczyzny, kucam przy nim i zaciągam się jego zapachem. Następnie jestem dosłownie przekonana, że wciągam do nosa odór degenerata. Prostuję się, jak struna, a zza moich pleców rezolutnie odzywa się Viria:

– Ten ponownie pochwycony przez nas Legus to notoryczny kłamca i zdrajca. Zatem zgodnie z prawem Anrei proponuję odciąć mu język i coś tam jeszcze, a potem ku przestrodze puścić wolno. Natomiast Damidos do znany gwałciciel. Tego gada wiadomo, czego wypada pozbawić i chętnie sama to zrobię, nawet własnymi zębami... – Kobieta z Favere obnaża kły w gniewnym grymasie i czyni zdecydowany krok do przodu.

– „Wstrzymaj się” – unoszę rękę w dość oczywistym geście.

– Ale czemu?! – oburza się Viria. – Postąpimy zgodnie z prawem Anrei, czyli twoim własnym, nieprawdaż?!

W odpowiedzi głos zabiera Exon:

– Zgodnie z prawem mitycznej Anrei proponowany czyn byłby aktem zemsty, a zatem grzechem. Natomiast tych oto patrycjuszy powinna ukarać sama śmierć, a następnie ich przyszłe życie, w którym to urodzą się biedni i ułomni na ciele.

– Pluję na taką odroczoną sprawiedliwość! – wrzeszczy na to wściekle Viria. Ale nagle robi wielkie oczy i wskazując na mokre spodnie oraz kałużę na ziemi pod kroczem Damidosa, wybucha wielkim śmiechem: – Ha! Wielki cesarski dowódca zeszczął się ze strachu we własne gacie! Co za żaloszny szczył, niegodny nawet ułomnego, drugiego życia!

W końcu szydzącą Virię odprowadza na bok Ravel. A kiedy atmosfera nieco się uspokaja, gestykuluje do Exona:

– „Patrycjusze zostaną uwięzieni i odeskortowani do twierdzy razem z łupami, my zaś jeszcze zapojujemy w okolicy”.

Tę treść, pod nieobecność Adory, przedstawia na głos mój inny zaufany tłumacz, a Exon kiwa usłużnie głową na zgodę. Tak więc zwycięstwo jest nasze, mamy jeńców i jasno sprecyzowane najbliższe plany. Pójdziemy za ciosem i jestem dobrej myśli, że już niebawem ponownie będziemy świętować wygraną!



II. WOJNA Z KRÓLESTWEM SALADIOR

Jest taki pocieszny, po prostu niesamowity... – myślę, dotykając małej dłoni syna Adory, chłopca imieniem Roden. Znajduję się z nim sam na sam w komnacie jego matki. Moja specjalistka od handlu w imperium dopiero co skończyła karmić malca piersią.

Sama przyznaję, że jestem tutaj dość częstym gościem. To jedyne miejsce w zamku, gdzie mogę nasycić oczy widokiem małego, niewinnego dziecka. A jest to na swój sposób tęskny dla mnie widok, którym często raczyłam się w mej rodzimej wiosce.

Zaś odkąd opuściłam tamto, do pewnego czasu, spokojne miejsce wydarzyło się tak wiele, że aż trudno uwierzyć. Jednak to nie koniec burzliwych wydarzeń, zdają sobie sprawę, iż być może nie jestem nawet w połowie mej drogi.

Dumam nad swoim życiem, dotykając drobniutkiego ciała dziecka w kołysce. Aż dochodzę do wniosku, że czas udać się na naradę, którą zwołałam na obecną porę.

W sali tronowej oczekują mnie już wszyscy jej stali bywalcy. Zasiadam na mym tronie – trochę sfatygowanym fotelu i swobodnie gestykuluję w kierunku Exona, zapytując:

– „Jak przedstawia się sytuacja na wojnie z cesarstwem”?

– Nader pomyślnie... – oznajmia poważnie postawny, jasnowłosy mężczyzna w połyskującej zbroi z szeregiem zadrapań na metalowej fakturze. – Podczas naszego niezwykle udanego wypadu pojaliśmy w sumie trzech cesarskich patrycjuszy i rozbiliśmy kilka cesarskich oddziałów. Przy czym nie zanotowaliśmy prawie strat własnych. Co więcej, nasi ludzie nabyli bitewnego doświadczenia. Natomiast za zdobyte łupy w nasze szeregi weszły kolejne zastępy najemników, a ponadto mamy czym opłacić żołd.

– „Doskonale, a jak wiecie się na wojnie wielkiemu chanowi”?

– Poczynione przez imperium działania dywersyjne okazały się dla chanatu nieodzowną pomocą – wyjaśnia ponownie Exon. – Cesarzowa Tira odesłała na granice z nami znaczącą część wojsk, aby obsadziły główne zamki. Zaś jej samej, na drugiej wrogiej granicy, pozostało zbyt mało środków, aby w wojnie z Precis przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

– „Czy cesarstwo nam w tej chwili zagraża”?

Na moje pytanie odpowiada zadziornie Viria:

– Patrycjusze nabrali respektu i nie wyściubiają swoich arystokratycznych nosów z granicznych twierdz. Za to patrycjusz Damidos sika w gacie za każdy razem, kiedy go odwiedzam w lochu i pokazuję me ostre zęby, ha! – Kobieta z Favere wygląda wręcz kuriozalnie, gdy niczym wściekły królik, w gniewnym grymasie demonstruje nam całkiem imponujących rozmiarów siekacze.

– Toż to istne tortury! – rzuca wobec wyznania partnerki Ravel i spoglądając z kąśliwym uśmiechem na Virię, puszcza jej oko, po czym dodaje: – Lecząc zadawane psychiczne męki są ze wszech miar uzasadnione.

Sama uśmiecham się lekko zarówno ze względu na oglądaną scenkę, jak i całkiem dobre wieści. Potem sugeruję kolejne kroki:

– „Przy braku zagrożeń ze strony cesarstwa udamy się w sile trzystu ludzi na ziemie królestwa Saladior. Postaramy się stoczyć tam kilka zwycięskich bitew i kto wie, może nawet wymusimy pokój” – Na te sugestie pojawiają się pomruki aprobaty dla moich planów, a ja poruszam inny temat: – „Najpierw jednak pragnę jednego z was szczególnie wyróżnić nadaniem szlacheckiego tytułu oraz wioski Pirt, będącej w granicach imperium Pendorum”

Wobec tej propozycji moi kompani stają w większości spięci jak struny poza Zanem, który lekko się uśmiecha. A muszę przyznać, że bardzo rzadko widzę na jego przystojnej twarzy uśmiech, choć ten jest naprawdę uroczy. Osobiście zachowuję należną memu majestatowi powagę i jednoznacznie wskazuję osobę, którą obdarzam wspomnianym zaszczytem, a wybrankiem jest Exon.

– Litości... – W odpowiedzi na moją deklarację Viria ostentacyjnie załamuje ręce, a oczy wywraca do góry. Z kolei Ravel z dezaprobatą kręci głową. Zgoła odmiennie zachowuje się Kalilla, która podchodzi do swego partnera, po czym długo i z uczuciem całuje go w usta. On zaś tuli ją w objęciach. Następnie arystokrata z mego nadania klęka przede mną na oba kolana, a ja kładę mu jedno z krótkich ostrzy na ramieniu i tym samym oficjalnie nadaję szlachecki tytuł.

– Oto palatyn Exon – ogłasza zaznajomiona wcześniej z moimi planami Adora.

– Palant... – słyszę uszczypliwe syknięcie Viri, której zaraz posyłam surowe spojrzenie. Na co kobieta z Favera kłania mi się przesadnie głęboko i wyniośle rzuca w powietrze: – Przepraszam, jaśnie wielmożnego państwa!

Spoglądam jakiś czas z dezaprobatą na partnerkę Ravela, zastanawiając się, czy za jej niestosowne zachowanie nie wymierzyć jej należnej kary. Jednak porzucam tę myśl, mając w pamięci, że ta kobieta ma po prostu taką krnąbrną naturę. W związku z tym pragnę już zakończyć naradę, gestykulując:

– „To wszystko, przygotujcie wojska do jutrzejszego wymarszu. Zaś w komnacie niech pozostaną ze mną jedynie nowy palatyn oraz Adora. Otrzymają oni specjalne rozkazy” – Niebawem pozostaję jedynie w obecności wymienione pary, a wtedy znowu czynię ruchy dłońmi: – „Przemyślałam dogłębnie sprawę i pragnę zawrzeć traktaty handlowe z Allearami, z którymi graniczymy od północnego wschodu”.

– Ale... – obrusza się Exon. Na co kładę mu palec na ustach i tłumaczę:

– „Nie muszę już teraz walczyć z Allearami, ponieważ prawie nikt na kontynencie Pendorum nie uważa mnie za mityczną Anreę. Szczególnie obecnie, gdy to imię nadała sobie także cesarzowa Tira. Natomiast ja osobiście nie znam wspomnianego ludu i skłamałabym, twierdząc, że żywię wobec niego złe zamiary, bowiem nie posiadam ku temu żadnego powodu. Dlatego chcę abyście wspólnie udali się do naszych sąsiadów z misją handlową. I jeżeli okażą się przyjaźnie nastawieni wówczas, przynajmniej czasowo, życzyłabym sobie zawrzeć sojusz handlowy”.

– Myślę, że jest na to szansa... – stwierdza w zamyśleniu Exon. – Odkąd Allearzy stracili swego wybrańca, cofnęli się do swych lasów i gór. Od

dawna ich grupy nie atakują już władztw Pendorum.

– „Otóż to” – podchwytyję. – „Dlatego wybierzecie się na ich ziemie z przedmiotami przeznaczonymi na handel i zaledwie niewielką, zbrojną eskortą. Natomiast na miejscu liczę, że mój nowy palatyn, godny swej rangi, podejmie słuszną decyzję co do dalszej współpracy z Allearami”.

– Jeszcze raz dziękuję za nadany tytuł i... włości... – zająkuje się niemal ze wzruszeniem Exon. – Zaczynałem jako kowal, syn kowala... i tylko marzyłem, że kiedyś, może... Zaś dzięki tobie, pani... Wiedz, że cię nie zawiodę...

Widzę, jak memu rycerzowi kręci się łza w oku i aby go dalej nie krępować, na koniec podsumowuję nasze spotkanie:

– „Jesteś, palatynie, właściwą osobą na właściwym miejscu i ufam ci z całego serca. A teraz przygotujcie się wszyscy do drogi. Wy także jutro wyruszacie, wszak nikomu nie zdradzajcie celu swojej podróży”.

Po tym przekazie Exon kłania mi się nad wyraz nisko i sprężystym krokiem wychodzi z komnaty. Jednak Adora pozostaje na miejscu. Spoglądam na nią pytająco, a dziewczyna upewnia się, że jesteśmy same i jakby w tajemnicy oznajmia:

– Od dawien dawna na całym kontynencie Pendorum panuje zakaz handlu z Allearami. Oczywiście niektórzy kupcy go łamią i najlepiej wychodzą na sprzedaży wina.

Na te słowa uśmiecham się nieznacznie i stwierdzam:

– „W tobie również pokładam zaufanie, że odpowiednio zadbasz o największy zysk ze sprzedaży”.

– Tak, pani...

– „Anreo”. – Mrugam okiem.

– Tak, pani, Anreo... – mówi cały czas ostrożnie Adora i czuć po jej tonie głosu, że trzyma coś jeszcze w zanadrzu. I rzeczywiście zaraz to wyjawia, oświadczając: – Pragnę zauważyć, że Allearzy wyjątkowo łakną trunków, ale się na nich nie znają i dlatego swobodnie możemy rozcieńczyć wino zwykłą wodą nawet do połowy. Nikt ze wspomnianego ludu się nie zorientuje, a pozwoli nam to się wzbogacić aż dwukrotnie...

Wobec takiej sugestii ściągam surowo brwi i przez chwilę walczę sama ze sobą. Muszę bowiem przyznać, że przedstawiona propozycja jest doprawdy kusząca i biorąc pod uwagę trudną sytuację mego imperium, w innych okolicznościach pewnie gotowa byłabym na nią przystać. Jednakże nie mogę popełnić występku chciwości. Nawet nie powinnam o tym myśleć. Dlatego gestykułuję:

– „Niech Allearzy otrzymają od nas najlepsze wino za sprawiedliwą cenę. To ostateczna decyzja” – Spotykam się z pełnym rozczarowania wzrokiem partnerki Gabu. Lecz dziewczyna zaraz pogodnie i na odchodne oświadcza:

– Chciałam dobrze, łaskawa pani... Chciałam się tylko zasłużyć...

*

Na czele trzystu żołnierzy imperium Pendorum jadę konno dumnie na spotkanie nowych bitew i mam nadzieję łatwych zwycięstw. Przekraczam granicę z królestwem Saladior i wysyłam liczne patrole w poszukiwaniu oddziałów wroga. Jednak początkowo nie napotykamy zbrojnego przeciwnika, a zatem zagłębiaamy się coraz dalej na wrogie terytorium.

I chociaż staram się całkowicie skoncentrować na kampanii wojennej to myślami często wybiegam do misji zlecanej Exonowi oraz Adorze. Ponieważ muszę przyznać, iż wiążę znaczące plany z tą wyprawą.

Cóż rzec. Poza Allearami granicę jedynie z władztwami, z którymi od dłuższego czasu jestem w stanie wojny, a zatem handel na tym odcinku praktycznie zamarł. Natomiast wysyłanie karawan do pozostałych państw Pendorum ze względu na odległość i trudny teren do pokonania jest uciążliwe i obarczone sporym ryzykiem.

Aż w końcu podczas jednego z postojów na noc, zanim usnę w swoim namiocie, świadomie rozświetlam oczy i kieruję mego wyzwolonego ducha w kierunku Exona oraz Adory. Szczęśliwie odnajduję tę parę w obozie Allearów wolnych i wydaje się całkiem zadowolonych. Na ten widok czuję prawdziwą ulgę i najpierw przyglądam się z zaciekawieniem zatopionemu w mroku nocy obozowisku.

Tubylcy zamieszkują przyzwoicie skonstruowane, przenośne szałaszy z drewna i skór. Widzę ogniska z rożnami, na których pieką się jelenie i dziki. W pobliżu stoją spętane konie, a także worki skrywające jakieś przedmioty.

Zaś co do samych Allearów, to zarówno kobiety, jak i mężczyźni, wszyscy oni są niewątpliwie również wojownikami. Każda z postaci posiada na plecach łuk, a przy pasie co najmniej jedno ostrze. Ich twarze są pociągłe, a sylwetki wysokie i smukłe. Do tego Allearów zgodnie zdobią jasne włosy często poprzeplatane drobnymi warkoczykami.

Spoglądam tak na przedstawicieli przeklętego ponoć przeze mnie ludu i cały czas doprawdy nie odnajduję w sobie żadnej zawiści. Nawet więcej, widok ten rozczuła me serce niczym matki. Czyżby więc przez te tysiące lat od zapoczątkowania naszego konfliktu moja złość się wreszcie wypaliła? W końcu jak powiada zacny Etos: „wszystko, co ma początek, skazane jest także na swój kres”. I muszę przyznać, że osobiście nie wierzę, iż w przyszłości z własnej inicjatywy zaatakuję Allearów, jeżeli sama nie zostanę sprowokowana. Myślę tak i w pewien sposób uspokojona przybliżam swego ducha do pary moich kompanów. Zatrzymuję się przy nich, aby dyskretnie podsłuchać, jakie zawarli umowy z Allearami. Oni jednak nieoczekiwanie prawię o czymś zupełnie innym.

– Jak się czuje Roden? – zapytuje wyjątkowo troskliwie Exon, głaskając Adorę po włosach.

– Nasz syn miewa się... bardzo dobrze... – odpowiada nieco speszona dziewczyna. Zaś ja sama nie bardzo mogę zrozumieć słowa Exona. Ich syn? Lecz jakby spełniając moje życzenie, świeżo upieczony palatyn wyjaśnia:

– Ciągle mam wyrzuty sumienia, że wtedy, gdy uciekłaś z obozu łowców niewolników w Otchłani, a Anrea poszła spać, kazałem ci się oddać mej osobie. Wybacz... był to czas, kiedy czułem się bardzo źle bez Kalilli i poszukiwałem pocieszenia w iluzorycznej władzy, która uderzyła mi do głowy...

– Nie mam czego wybaczać... – stwierdza spokojnie Adora. – Gdybyś mnie wtedy nie posiadł, nie urodziłabym Rodena, naszego syna...

– To prawda, jest wspaniały... Ale to powinno być dziecko Gabu...

– Nie przejmuj się... – pociesza pyzata dziewczyna. – Pod sercem noszę już drugie dziecko. I tym razem bez wątpienia ojcem jest właśnie Gabu...

– Winszuję szczęścia... – Exon uśmiecha się szczerze.

– Szczęście... – powtarza Adora i ścisząc głos, sama głaska mężczyznę po twarzy, mówiąc: – Oboje pochodzimy z królestwa... Dlatego zwróciłam na ciebie uwagę już w szkole gladiatorów Artusa. Pewnie i tak nie zostałamby nigdy gladiatrix, ale nie mogłam trenować, bo cały czas patrzyłam tylko na ciebie...

– Adoro...

– Byłeś dla mnie niczym nieosiągalny Bóg, sam wielki Avenedor. I tam, wtedy, nigdy nawet nie spojrzawsz w moim kierunku. Do tego miałeś u boku wspaniałą partnerkę no i wszyscy sądzili, iż z pochodzenia jesteś arystokratą... Jednakże tam, w Otchłani, na moment się wszystko zmieniło... Nagle szalony los sprawił, że chciałeś... i kochałeś się ze mną. A owocem tamtej miłości jest dziecko, nasz syn, Roden...

– Więc naprawdę nie żywisz urazy...?

– Nie, wręcz przeciwnie... I pomimo tego, że jestem kobietą Gabu, nie zważając na nic, zawsze chętnie będę cię widzieć tak blisko przy sobie, jak tylko będziesz chciał... – Dziewczyna nieśmiało całuje Exona w rękę, potem drugą. On, po chwili wahania, zdejmuje jej z ramion suknię i dłuższy czas wpatruje się w pełne, nagie piersi. I zaraz, w szalencie, kobieta oraz mężczyzna zaczynają się kochać ze sobą. Pyzata, niska i krępa kochanka wręcz niknie pod potężnym męskim ciałem, którego dotyku swego czasu sama zaznają. Wkrótce Exon zmienia pozycję, ustawiając Adorę na czworakach i przylega od tyłu do jej obfitych pośladków. Wspólnie kołyszą się jak w miłosnym tańcu i oboje postępują coraz donioślej.

Wobec tej intymnej sceny mój uświadomiony już duch, co do pochodzenia syna Adory, opuszcza obozowisko Allearów i szybuje z powrotem do mego ciała. Natomiast po drodze trafi mnie taka oto myśl: czego byłam właśnie świadkiem? Czy pięknego aspektu miłości, gdzie dwie osoby, które wydawałoby się, nie mogą być ani chwili razem, na przekór wszystkiemu nagle po prostu się kochają? Czy może zgodnie z kodeksem mitycznej Anrei był to ohydny, bluźnierczy akt rozpusty godny najwyższego potępienia? Zaś chłopiec Roden jest zepsutym owocem moralnej zgnilizny.

I raptem z wielkim smutkiem spoglądam w ślad za ogniskami Allearów. Bowiem z bólem uświadamiam sobie, jak wielką krzywdę wyrządziłam im,

sobie i wszystkim innym, z góry narzucając się tak kategorycznych zakazów. To ja, Bogini Matka, popełniłam błąd, nie moje dzieci. To mój jedyny prawdziwy grzech, bezwzględność i brak empatii. Czy to dlatego powracam ciągle na ziemię zsyłana tu przez piątkę moich boskich dzieci, aby to wreszcie zrozumieć? Lecz nawet jeżeli tak, to moim osobistym przekleństwem jest to, że nieustannie muszę pokutować i za nic nie potrafię mego fatum odmienić.

Naraz powracam duchem do ciała i orientuję się, że ktoś potrząsa mnie niezbyt energicznie za ramię. Na wspomnienie Exona krzywo się uśmiecham, gdy widzę, iż tą osobą jest Kalilla.

– Nie śpisz...? – zapytuje mnie łagodnie. Na co kręcę przecząco głową.
– Zatem... mam do ciebie wielką prośbę, z którą nie jestem już w stanie dłużej zwlekać...

– „Mów” – gestykuję.

– Otóż... Od powrotu z Otchłani nie miałam w ustach napoju Harremid ani razu... Z kolei z Exonem próbowaliśmy począć potomka już tyle razy, ale pomimo to moje łono pozostaje jałowe...

– „A inni mężczyźni”?

– Nie mów tak – obrusza się naraz Kalilla. – Nie mów... To prawda, że z racji wykonywanej profesji miałam kiedyś wielu kochanków. Ale od dawna już tylko Exona. I dziecko pragnę mieć wyłącznie z nim, rozumiesz? Dziecko muszę nosić pod sercem tylko jego.

– „Czego ode mnie oczekujesz”?

Kobieta robi cierpiętniczą minę, spogląda mi w oczy i z pewną nadzieją w głosie oznajmia:

– Przecież jesteś Boginią, Boginią Matką... Więc użyj swej mocy. Na pewno ją posiadasz. Dałaś już temu wyraz, porywając dziecko Adory oraz Gabu z Etos. Więc spraw za pomocą swej boskiej potęgi, abym była płodna... Spraw, by poczęło się w mym łonie dziecię moje oraz Exona... – kończy z głęboką prośbą. Patrzą na nią tak długo, aż ona ujmuje moją rękę. Wtedy rozświecłam oczy intensywnym światłem. Moja dłoń samoistnie kieruje się na brzuch kobiety, a druga wykonuje wymowne gesty:

– „Jeżeli to możliwe, o co prosisz, to już się dokonało. A teraz oczekuj swego mężczyzny, by począć wasze dziecko”.

– Dziękuję, tak bardzo dziękuję... – Kalilla ściska moją rękę i uśmiecha się szczerze, po czym wstaje i z uniesioną głową powraca swego namiotu. Spoglądam za nią tak długo, aż niknie mi z oczu, które przestają lśnić. Z tą chwilą układam się do snu.

*

Wraz z nastaniem bladego świtu zwiadowcy powiadają mnie o obecności w pobliżu niezbyt licznych wojsk hrabiego Hawarda, pana ziem, na których akurat przebywam. Wobec tego wydaję rozkazy o odcięciu napotkanych wojsk królewskich od znajdującej się w tym rejonie twierdzy i zaczynam osaczać wroga. Ze względu na liczebność mojej armii nie da się jej zbyt długo pozostawiać w ukryciu i dlatego obieram taktykę deptania po piętach oraz odcinania drogi ucieczki, która jest całkiem skuteczna.

Tym sposobem po dwóch dniach hrabia, mający coraz mniejsze pole manewru, decyduje się wydać mi bitwę. Lecz kiedy sama orientuję się, że dysponuje on zaledwie setką ludzi wobec moich trzystu, wysyłam posła z prośbą o osobiste spotkanie.

Jest wczesne popołudnie, niebo zachmurzyło się lekko, a ciepłym powietrzem porusza lekki wiatr. Zatrzymuję rumaka w połowie drogi pomiędzy wrogimi sobie wojskami, a towarzyszy mi jedynie tłumacz dzierzący chorągiew imperium Pendorum – dziesięć czarnych czaszek na białym tle.

Niebawem w asyście królewskiego rycerza pojawia się konno hrabia, którego miałam już okazję kilka razy widzieć w obecności zmarłego króla Anrona. Haward jest starszym już mężczyzną z dość obfitym brzuszyskiem skrywanym teraz pod stalową zbroją. Włosy ma długie i krucze, do tego podwinięte do góry wąsy i brodę ostrzyżoną w szpic, co jest ostatnio modne wśród arystokratów z królestwa.

Ja sama ciągle nie mam na sobie szat godnych mego majestatu i prezentuję się w stroju gladiatrix, w którym czuję się nad wyraz swobodnie, a jednocześnie zawsze gotowa do walki. Na ten czas mam jednak prowadzić rozmowę mającą na celu zapobieżenie przelewowi krwi, przechodzę zatem do rzeczy, gestykulując:

– „Dysponuję trzykrotną przewagą liczebną w polu, a wy nie możecie już dłużej uciekać. Poddajcie się, a połowę z was, aczkolwiek rozbrojoną, wypuszczę wolno”.

– Witaj, waleczna pani... – oznajmia na to wręcz szarmancko hrabia, zupełnie jakby mojego ultimatum w ogóle nie zrozumiał, choć odpowiednie słowa zostały wypowiedziane przez tłumacza. Jednakże sama nie mam oporu przed tym, aby przyjąć styl negocjacji mego rozmówcy. W związku z tym spokojnie czynię kolejne ruchy dłońmi:

– „Zatem witaj, hrabio Hawardzie, mężu znanemu ze swej roztropności”.

– Zaiste nie zaliczam się do ludzi porywczych... – Uśmiecha się lekko i podkreśla swój wąs. – Ale przede wszystkim jestem honorowy – poważnieje. – A co za tym idzie, nie mogę się tak po prostu poddać. Mój honor nakazuje mi stoczyć z tobą walkę, pani.

– „Zginą ludzie”.

– Taki ich los, to żołnierze... – Wzrusza rezolutnie ramionami.

– „A jaki będzie twój los, hrabio, kiedy cię pokonam”?

– Cóż... – Haward gładzi w zamyśleniu szpiczasty zarost na brodzie, aż uprzejmie oświadcza: – Jeżeli nie zginę chwalebnie w boju... wówczas oddam ci, pani, swój miecz, poprzysięgnę wierność i przyłączę me włości do imperium Pendorum – kończy tym razem z szerokim uśmiechem na nieco nalanej twarzy”.

– „Słucham”? – Robię okrągłe oczy, ponieważ nie dowierzam zasłyszonym słowom, a nie wychwytyuję w nich drwiny. Natomiast hrabia spokojnie wyjaśnia:

– Nie ufam mężczyźnie wybranemu na króla Saladior i osobiście głosowałem przeciw jego kandydaturze. Z kolei bardzo ceniłem sobie władcę Anrona...

– „Zabiłam go”.

– Tak, to prawda, ale zginął on mężnie w boju, co nie przynosi ujmy na honorze ani tobie, ani też jemu, pani. A wiedz... że byłem jego powiernikiem i swego czasu zwierzył mi się, że ze wszech miar pragnie cię on uczynić królową władztwa Saladior. – Przyznaję to ze smutkiem, kiwając głową, a hrabia kontynuuje: – W takich okolicznościach jestem

gotowy w przyszłości walczyć o to, by cały Saladior znalazł się w granicach nowego imperium i zaznaczam, iż moje zdanie podzielają niektórzy królewscy lordowie. I to właśnie z powodu wewnętrznych niesnasek w królestwie i różnicy zdań, ciągle nie doczekałaś się, pani, najazdu wojsk z Saladior na swe ziemie.

– „To bardzo cenne nowiny, dziękuję” – składam razem dłonie i kłaniam się lekko.

– Nie dziękuj, pani... – Haward uśmiecha się tym razem z przekąsem. – Najpierw musisz mnie wszak pokonać. – Po tych słowach powraca do swoich wojsk ustawionych na niewielkim wzniesieniu, gdzie z przodu stoją w linii łucznicy, z boku halabardziści, a po przeciwnej ich stronie ciężka konnica królestwa. Zaś całe wojsko prezentuje się wielce dostojnie w białoczerwonych kolczugach i zbrojach oraz z chorągwiami, na których widnieją dumne wizerunki lwów.

Sama wzdycham ciężko i stwierdzam, że nie pozostaje mi nic innego, niż na życzenie hrabiego rozbić jego oddział w pył. Jego samego natomiast chwilowo zniewolić, by następnie przyjąć w poczet mych arystokratów.

Nieuchronną potyczkę rozpoczynam od harców lekką konnicą, gdzie prym wiodą łucznicy konni. Jestem w ich szeregach z Ravelem i zasypujemy strzałami w większości pozbawione tarcz oddziały wroga. Zostają one lekko przetrzebione, a kiedy i ku nam wystrzeliwane są zakończone grotami drzewce, dowodzący formacją lekkiej konnicy mężczyzna rodem z chanatu, kieruje nas daleko na prawą flankę. Tutaj dosięgnąć nas mogą zaledwie nieliczni łucznicy, za to my bez pardonu ostrzeliwujemy odsłoniętych halabardników.

Nie mija wiele czasu, a w formacji klinowej rusza na nas potężna, ciężka jazda z Saladior. Wobec tego Ravel markuje ucieczkę, zarządzając odwrót. Gnamy z powrotem w nasze szeregi, strzelając za plecy z łuków. Zaś tu przed liniami naszych wojsk rozbiegamy się na dwie strony, a naprzeciw konnej nawałnicy z królestwa rusza ciężka jazda Arezara na czele z Zanem. Dochodzi do potężnego starcia dwóch formacji jednostek konnych, które zderzają się ze sobą z wielkim impetem. Wtedy też Viria daje znak piechocie zaopatrzonej w piki, aby przypuściła atak, wspomagając Zana. Z kolei jednostki strzeleckie Kalilli skutecznie rażą biegnących do centrum

walki halabardników. W tym czasie lekka konnica Ravela zatacza półkole w kierunku wrogich łuczników. Otrzymuje ona sygnał do przebrojenia się w białą broń i pozostawieni na tyłach królewscy łucznicy wycinani są przez lekką jazdę w pień, gdzie sama biorę czynny udział w walce.

W efekcie krótkiego starcia niezbyt liczna ciężka konnica królestwa zostaje skutecznie odepchnięta i rozbita przez jazdę Arezara wspólnie z piechotą Viri. Halabardnicy są wystrzelani niemal co do jednego, zanim dane im jest dobiec do centrum pola walki. Natomiast nieliczni ocaleli wrodzy łucznicy uciekają w popłochu, ścigani przez moją lekką konnicę. Zgodnie z przewidywaniem bitwa zostaje z łatwością wygrana przy niewielkich stratach własnych, a zdziśnięciu żołnierzy przeciwnika.

Sam hrabia Haward, walczący w szeregach ciężkiej jazdy, jest niegroźnie ranny w ramię i skutecznie pojmany. Dochowuje mi on danego słowa i z tytułem hrabiego palatyna staje się moim drugim wasalem z zamkiem oraz wioską przylegającymi dotąd do mojego imperium. Od tej chwili zaś stanowiącymi jego integralną część.

Następnie decyduję się kontynuować udaną kampanię w królestwie Salador. Chociaż hrabia palatyn Haward nieco studzi mój zapał, oznajmiając, że każdego wspierającego mnie po cichu lorda i tak będę musiała pokonać w honorowej walce, aby przyłączył się do mnie. Takie na tych ziemiach obowiązują niepisane zasady. Więc nie pozostaje mi nic innego, jak przystać na te reguły.

W konsekwencji, w postępujących po sobie dniach, pokonuję jeszcze dwie królewskie armie i przyjmuję przysięgę wierności od kolejnego lorda. Dopiero wtedy decyduję się wrócić do Skalnej Wieży. A powinnam uczynić to, czym prędzej, ponieważ dochodzą mnie bardzo niesprzyjające wieści.

Po ciężkiej chorobie mój jedyny sojusznik, wielki chan Bulundur, umiera. Owocuje to między innymi tym, że kończy się wojna chanatu z cesarstwem. Lecz jednocześnie wybucha wojna domowa w Precis o schedę po zmarłym władcy, a wyraźną przewagę w tym konflikcie uzyskuje przedstawiciel popierany przez Tirę. W wyniku tego poparcia jednostki cesarskie używane są do tłumienia buntu przeciw nowej, poszerzającej swe wpływy władzy w chanacie. Z kolei sam nowy wielki chan odwdzięcza się Tirze, wypowiadając wojnę imperium Pendorum. Co więcej, aby nie barć

udziału w bratobójczych walkach, część wojsk z Precis kierowana jest podobno wprost na moje ziemie z zamiarem ich splądrowania. Ja zaś bynajmniej nie zamierzam na to beczynnie pozwolić.



III. WOJNA Z CHANATEM PRECIS

Nie spędzam zbyt wiele czasu w Skalnej Wieży. Lecz zanim ponownie wyruszam w pole wzywam przed swoje oblicze Adorę w roli tłumaczki oraz Kalillę. Tej ostatniej przyglądam się dość surowo, po czym do niej gestykuluję:

– „W dolnych komnatach zamku słyszałam namiętne, kobiece jęki. Odkąd to przebywają tu liczne kochanki? A może to nierządnicze?”

– Tak, to sprowadzone przez mnie dziwki, w rzeczy samej – odpowiada hardo Kalilla i wyjaśnia: – Słyszałaś pani kobiety, które w cesarstwie były niewolnicami i nierządnicami zarazem. Musiały tam oddawać swe ciała jedynie za własne przetrwanie. Tutaj z kolei zapewniam im godziwe warunki oraz dzielę się zapłatą za ich usługi świadczone dla męskiej części załogi.

– „Dzielisz się zapłatą”? – nie kryję zdziwienia, choć pragnęłabym na twarzy wyrazić me oburzenie. Te jednak się na mym licu nie pojawia. Natomiast wsparcia Kalilli udziela Adora, oświadczając:

– Sprowadzenie kobiet na zamek bardzo poprawia morale żołnierzy. Do tego stopnia, że godzą się na niższy żołd. Zaś wspomnianym kobietom nie dzieje się tutaj krzywda. Zapewniamy im żywność, dach nad głową i godne warunki. To prawda, zarabiamy na ich bytności tutaj, ale z obopólną korzyścią. Nikt nie trzyma tu wspomnianych niewiast wbrew ich woli i w każdej chwili mogą odejść.

– Lecz żadna z nich nie chce tego uczynić, ponieważ tutaj mogą poprawić swą dotychczasową niedolę – zaznacza z siłą w głosie Kalilla. – Jedna z tych poniewieranych dotąd kobiet porzuciła już nawet swoją profesję i wyszła za mąż za dowódcę wschodniej baszty. Obecnie mieszka w wiosce Pirt i szczęśliwie spodziewa się dziecka. To, że kobieta jest pewien czas dziwką, bo taki los wyznaczyli jej Bogowie, chyba nie oznacza

przecież, że jest kimś gorszym i zawsze czeka ją samo zło? – Partnerka Exona wskazuje na samą siebie.

– „Nie, nie oznacza” – gestykuluję w zamyśleniu i zaraz zapytuję: – „Czy ktoś ze szkoły Artusa wie jeszcze o tym, co założone zostało w tym zamku”?

– Jedynie Ravel – stwierdza Kalilla.

– „Możemy liczyć na jego dyskrecję”?

– Owszem, w zamian za niewielkie przysługi ze strony wspomnianych kobiet...

– „Dobrze. Zatem ogłaszam, że nie będę ingerowała w ten proceder, skoro przynosi więcej dobra niż zła”.

– Dziękuję ci, pani. – Kalilla kłania się lekko.

– „Jednakże” – zaznaczam. – „Dla dobra imperium, niech ta wiedza pozostanie możliwie dyskretna. Ościenni monarchowie mogą wykorzystać to przeciw nam, deprecjonując majestat mej władzy, skoro pod swym dachem mam zwykły...”

– Burdel – kończy spokojnie Kalilla i w tym samym tonie dodaje: – Oczywiście, pani, jeszcze raz dziękuje i tak, jak sobie zyczysz, się stanie.

*

Decyduję się objąć osobiste dowództwo na czele setki lekkiej jazdy i wraz z ciężką konnicą Zakonu Miecza Białego Psa wyruszam w pole. Dobór takich jednostek jest uzasadniony. Zwiadowcy donieśli już o harcownikach z chanatu, głównie łucznikach konnych, którzy najeżdżają ziemie imperium. Więc w celu odparcia takiego ataku kluczowa będzie mobilność. Jeżeli zaś dojdzie do cięższych walk, mój oddział lekkiej jazdy wspomogą konnica Zana.

Natomiast co do wymienionego z imienia mężczyzny, to postanawiam dłużej z nim porozmawiać. W końcu ponoć łączy nas tak wiele od tak zamierzchłego czasu, więc dlaczego w pewien sposób jakbyśmy stronili od siebie? Nie widzę ku temu powodu i zapraszam go na przód naszej kolumny wojsk, aby z końskiego grzbietu zapytać o kilka spraw:

– „Jak dobrze rozumiem, osobiście pamiętasz swoje przeszłe życia”? – gestykuluję.

– Tak... – odpowiada swobodnie. – A właściwie nasze życia... – koryguje zakonnik.

– „Nasze”?

– Owszem, ponieważ niemal zawsze się w nich spotykamy... – Lekko uśmiecha się do mnie i jest to naprawdę uroczy grymas twarzy, którego nie jestem w stanie nie odwzajemnić.

– „Pamiętasz wszystkie nasze wspólnie istnienia”? – interesuję się.

– Tak, każde z nich – potwierdza. – Choć przede wszystkim jedno najbardziej wyryło mi się w pamięci.

– „Które”?

– Oczywiście moje pierwsze, gdy się razem poznaliśmy i kiedy się w tobie bez pamięci zakochałem... – Puszcza mi oko. Nieco zawstydzona na chwilę odwracam wzrok od rozmówcy. Ale zaraz znowu obdarzam go ciekawskim spojrzeniem i czynię wymowne gesty:

– „Naprawdę mnie niegdyś kochałeś”?

– A kto powiedział, że to uczucie jest już przeszłością? – odpowiada ponownie z czarującym uśmiechem na młodzieńczej twarzy. Sama tym razem wręcz szczerzę się beczelnie i nieco bezradnie gestykuluję:

– „Ale ja prawie cię nie znam. To znaczy, czuję między nami coś innego, coś więcej, ale... Sama nie wiem”.

– To nie jest dla ciebie miłość...

– „Właśnie”.

– Nie ponaglaj tego uczucia. Nic nie musisz robić, a zaręczam, że samo i tak rozkwitnie niczym kwiaty na wiosnę...

– „Jesteś dość pewny siebie” – zauważam.

– Po prostu cię znam i znam nas oboje tak dobrze, jak nikt inny na świecie... – Tym razem puszcza mi soczystego całusa.

– „Czy to dlatego nie szukasz mego towarzystwa? Po prostu czekasz, aż przyjdzie odpowiedni czas”?

– Dokładnie tak – potwierdza.

– „A jeżeli któremuś z nas przyjdzie nagle zginąć w bitwie, choćby dzisiaj”? – poważnieję. Na co Zan także ściąga kąciki ust w poziomą kreskę i sam ponuro zapytuje:

– Więc sugerujesz, że nie powinniśmy odkładać naszej wzniosłej miłości na dłużej? – kończąc, ponownie się uśmiecha. A ja, jak mogę, powstrzymuję odwzajemnienie tego grymasu twarzy i kiwam karcąco wskazującym palcem. Następnie jedziemy pewien czas w ciszy, aż znowu czynię ruchy dłońmi:

– „Możesz powiedzieć mi coś więcej o moich pierwotnych dzieciach, a obecnych Bogach Pendorum”?

– Co chciałybyś wiedzieć?

– „Nie wiem, cokolwiek”.

– To banda niesfornych bachorów – wypala Zan.

– „Mówisz o samych Bogach”! – Robię wielkie oczy.

– Tak, a i owszem, ale także o dzieciach, które wyzwoliły się spod opieki rodziców i zatrasnęły przed nimi drzwi prowadzące z powrotem do domu.

– „Tak, słyszałam o tym”.

– Wiedz zatem, że twoje dzieci się ciebie bynajmniej nie wyparły, ale jednocześnie urzekła je władza oraz podziw. I to dlatego mają one udział w trawiącej Pendorum, jak i ciebie, klątwie.

– „Popełniane w każdym śmiertelnym żywocie grzechy stoją mi na drodze powrotu do boskiego domu”.

– Dokładnie, a powinnaś już wrócić... – Zan wzdycha ciężko.

– „Czemu”?

– Właśnie ze względu na swe boskie pociechy. Ponieważ posiadają one wspaniałe przymioty jak miłość, honor, siła, odwaga czy świętość. Ale bez matki każdą tę cechę ozdobiły brutalną ideą...

– „Walką”.

– Właśnie tak, walką bez końca dla niej samej... I to dlatego kontynent Pendorum jest od tysięcy lat areną krwawych starć ciągnących się wręcz bez końca.

– „Zrobię, co mogę, aby tę plagę zakończyć, mimo że w pewnym sensie sama ją zapoczątkowałam” – Czynię pokorną minę, a Zan pogodnie odpowiada:

– Wiem, że to zrobisz, moja Anreo, i właśnie za to cię kocham... Dokładnie za to, iż potrafisz się zmienić i pokonać samą siebie, swoje słabości...

Mój kochanek z przeszłości wydaje się pozostawać niezmiennie w dobrym nastroju. Ja jednak jestem nastawiona bardziej melancholijnie i w tym tonie oświadczam:

– „Często nie rozumiem moich czynów ani towarzyszących im okoliczności”.

– Co masz na myśli...?

– „Na przykład wybrańca Allearów... Przewrotny los sprawił, że skrzyżowałam z nim miecze. Ten wojownik był lepszy ode mnie, zdecydowanie, ale dał mi się pokonać i zabić... Zaś jego ostatnimi słowami było to, że zawsze go zabijam... mojego syna... naszego syna”.

– To ta trudniejsza część naszej wspólnej historii... – Zan wzdycha ciężko po raz drugi i także na dobre poważnieje.

– „Opowiedz o tym” – proszę.

– Tak więc... – Spogląda na mnie z czułością. – Po twojej pierwszej śmierci z rąk Abezala boskie dzieci nie wpuściły cię do niebiańskiej krainy Bogów. Ty natomiast odrodziłaś się na ziemi z zamiarem dokończenia swego dzieła i pokonania Allearów, by ich ukarać. Lecz nasz syn dorósł w tym czasie, zmęźniał i poszedł własną drogą. Czyli stanął on po stronie przeklętego przez ciebie ludu, wskazując, że to ty sama jesteś źródłem problemu i przyczyną klęsk. W konsekwencji poprowadził on do boju przeciw tobie armię Allearów i w kolejnych żywotach czynił to raz za razem. Jednakże w bezpośredniej konfrontacji nigdy nie był w stanie nawet zranić własnej matki, a swój ból z powodu jej poczynań manifestował własną śmiercią...

– „Co chciał przez to przekazać”?

– Przecież to wiesz, Anreo...

– „Pragnę potwierdzenia”.

– Atakując Allearów za ich grzechy, tak naprawdę atakujesz samą siebie i wszystko, co jest ci drogie. Sprawiając im ból, ściągasz cierpienie na siebie i całe Pendorum. To zaklęty, przeklęty krąg i nasz syn jako pierwszy to zrozumiał.

– „Więc mam zaprzestać odwiecznej walki z Allearami”?

– A wciąż widzisz powód tej straceńczej batalii...?

– „Nie dostrzegam go”.

– Więc nadal chcesz z nimi walczyć?

– „Nie czuję takiej potrzeby. Za to czuję inną”.

– Pokonania własnej osoby...

– „Tak” – przyznaję.

– Więc może naprawdę nadszedł już czas na twoje oczyszczenie... I zjednoczysz kontynent Pendorum bez grzechu oraz bez tępienia Allearów, a może nawet z ich pomocą...

– „Chciałbyś tego”?

– Abyś ruszyła do boju jako prawdziwa Matka Allearów, a oni zawsze stali u twego boku niczym twój cień? – Zan wydaje się naraz bardzo rozmarzony. Patrzy na mnie z ukosa z czarującym uśmiechem i ostatnie zdanie wypowiada pełnym uczucia głosem: – Tak, oczywiście, że bym tego pragnął i to całym sobą, ponieważ ja sam pierwotnie narodziłem się Allearem i jak mówiłem... niezmiennie kocham cię...

Spoglądam dłużej Zanowi w oczy, aż nie jestem w stanie wytrzymać jego spojrzenia. Dlatego patrzę daleko przed siebie, jakby w odległą przyszłość i właśnie pozbywam się ostatnich wątpliwości co do tego, kim mam być i co ostatecznie muszę uczynić. Następnie odwracam się do mojej jazdy i energicznie wskazuję ręką kierunek przed siebie.

– „Naprzód”! – gestykuuję, bowiem daleko pod lasem dostrzegam konne jednostki chanatu w charakterystycznych, brązowych kolczugach.

I zaraz gnam jak szalona, pragnąc jakby pozostawić za sobą wszystkie swe klęski i błędy. Tak, pragnę oczyszczenia i przeświadczona jestem, że mogę je osiągnąć, pokonując na początek kolejne zastępy wroga.

Poganiam co sił rumaka i przemierzam łąkę w gonitwie za jeźdźcami, którzy właśnie nikną w lesie. Nie oglądam się za siebie, nie ma na to czasu. Mój przeciwnik może zaraz uciec, a potem palić me włości. Nie pozwolę na to!

Dlatego zdejmuję z pleców łuk i strzelam w jeźdźców chanatu, którzy są już pomiędzy drzewami. Aż sama wpadam pomiędzy zwaliste pniaki, a liściaste gałęzie chłoszczą mnie boleśnie po twarzy. Muszę trochę zwolnić, więc odkładam łuk na plecy i chwytam jeden z mieczy, po czym konno przedzieram się przez leśną gęstwinię. Na moment tracę wroga z widoku, to znów ukazują mi się końskie zady i plecy jeźdźców, by zaraz zginąć między drzewami. W ten sposób zagłębiam się coraz bardziej w mroczny bór.

Aż raptem mój rumak rży przeraźliwie i staje dęba trafiony w bok kilkoma strzałami. Błyskawicznie wysuwam nogi ze strzemion i skaczę na leśne runo. Toczę się po nim, wstaję i przylegam do masywnego pnia. Tuż nad moją głową wbija się w korę jeszcze jedna strzała, a kolejna z chrzęstem odbija od mego opancerzonego naramiennika. Ja zaś ciągle nie mogę określić, skąd dokładnie nadchodzi atak.

Zapobiegawczo pochylam się i z dwoma mieczami biegnę zygzakiem pomiędzy drzewami. Przedzieram się przez gęste krzaki i naraz wychodzę na niewielką polanę, gdzie nadziewam się na kilkunastu wrogich jeźdźców.

Zagryzam wściekle wargi i rzucam się na pierwszego z nich. Wbijam mu ostrze w brzuch, wydaję i następnego przeciwnika na koniu tnę w nogę. A zaraz mego stalowego napierśnika dosięga grot włóczni. Odruchowo uskakuję do tyłu, unikając zranienia, lecz teraz wszyscy jeźdźcy kierują na mnie swój różnorodny oręż i zaczynają mnie osaczać. Dlatego daję nura z powrotem w gęste zarośla. Przedzieram się przez nie i biegnę na oślep, ale kilkunastu jeźdźców gna tuż za mną, a także prześcigają mnie po bokach.

Wtem pętla rzuconego lasa zaciska się wokół mego miecza i zostaje mi on wyrwany z dłoni. Jednocześnie tuż przede mną w pień drzewa wbijają się trzy oszczepy. Staję jak wryta i czynię gwałtowny zwrot, po czym nagle staczam się boleśnie po stromej skarpie, gubiąc po drodze drugie ostrze.

Na dole kucam nisko przy pokrytej liśćmi ziemi, zdejmuję z pleców łuk i rozglądam się uważnie naokoło, to nasłuchuję. Otaczają mnie liczne

krzewy, przez co nie jestem w stanie dostrzec przeciwników. Za to wyraźnie słyszę złowrogi szelest liści.

Nie czekam dłużej i posyłam strzałę w miejsce, gdzie dochodzi hałas. W efekcie rozbrzmiewa tam echem rozpaczliwy, męski wrzask. Więc trafiam, a skoro tak, to zachęcona posyłam po omacku więcej strzał.

Gdy wtem szelest liści słyszę tuż za sobą. Odwracam się i otrzymuję zamaszyste uderzenie kolczastą buławą w pierś. Od siły uderzenia padam na wznak w górę liści, a jednocześnie czuję dotkliwy ból od metalowych kolców, które przebijają się przez mój pancerz i ranią mnie. Moja stalowa, podziurawiona osłona pokrywa się stróżkami krwi, a ja, siedząc, z trudem się cofam. Aż raptem nic nie widzę, ponieważ ktoś zarzuca mi worek na głowę!

W nagłym przypiływie paniki pragnę krzyknąć, lecz tylko szeroko otwieram usta i czym prędzej staram się ściągnąć narzucony na mnie materiał. Jednak ktoś chwyta moje dłonie i wykręca w nadgarstkach. A zaraz jestem brutalnie wciśnięta twarzą w stertę liści. Z tą chwilą czuję na głowie miażdżącą mnie siłę, jakby dociskającego mnie do ziemi buta, po czym otrzymuję potężne uderzenia w żebra z jednej i drugiej strony. Moje kości chyba pękają, bo raptem doświadczam straszliwego klucia w boku. I w tym momencie, w obawie przed kolejnymi razami, całkowicie się poddam, bowiem już wiem, że przegrałam.

Zaciskam zęby i kulę się w oczekiwaniu na to, co dalej uczynią ze mną moi oprawcy. Dłuższy czas nic się nie dzieje, aż czuje dotyk na głowie. W odpowiedzi jeszcze bardziej spinam się w sobie i tylko mocniej wciskam twarz osłoniętą workiem w pokrytą liśćmi ziemię.

Wtem zalewa mnie jasne światło, kiedy ktoś zdejmuję przesłonę z mych oczu. Błyskawicznie siadam i rozglądam się naprawdę przerażona. Lecz zaraz dostrzegam, że nie powinnam się już lękać moich oprawców, za to oni, jak najbardziej, mojego obrońcy. Ten zaś najwyraźniej nie zamierza okazać litości i jednym cięciem pozbawia głów dwóch klęczących koło siebie wojowników chanatu.

Moim wybawicielem jest Zan, który stoi przy mnie z obnażonym i zakrwawionym mieczem w otoczeniu kilku zabitych wrogów.

Po dokonanej egzekucji chowa miecz do pochwy, kuca przy mnie i tuli w ramionach. Nie chcę okazywać przy nim słabości, pragnę pokazać, że jestem twarda, naprawdę silna i dumnie podołam wszelkim przeszkodom. Ale zamiast tego zanoszę się płaczem. Daję tym samym wyraz specyficznemu bólowi, który uwalniam, a który naraz wypełnia mnie na wskroś i pochodzi jakby z głębi mego jestestwa. Wyraża on tak wiele, ile nie mogłyby przekazać żadne gesty i słowa.

Zan tuli mnie i głaska po rudych, rozpuszczonych włosach, bowiem moją chustę zgubiłam gdzieś po drodze w leśnej goniwce. Jesteśmy tak razem koło siebie przez dłuższy czas. Aż w końcu odnajdują nas moi żołnierze i oznajmiają, że bitwa w lesie dobiegła końca. Wróg zostaje pokonany, ale i my ponosimy w trudnym terenie duże straty.

Wobec takich wieści staram się ogarnąć i ponownie wziąć na siebie trudy dowodzenia. Wstaję i wydaję rozkazy o powrocie do Skalnej Wieży. Z kolei intuicja podpowiada mi, że jest już ku temu najwyższy czas.



IV. WOJNA Z KONFEDERACJĄ FAVERS

W obecności Adory kończę się bawić z jej synem i pozostawiam mu dar w postaci wyrzeźbionej przez Zana drewnianej figurki żołnierza na koniu. Posyłam dziecku ostatni uśmiech i w towarzystwie jego matki udaję się na zwołaną przeze mnie naradę.

Idziemy w ciszy, a ja nie czynię żadnych gestów. Tematu ukrytych relacji Adory z Exonem oraz ojcostwa Rodena nie zamierzam w ogóle poruszać. Uznaję, że są to osobiste sprawy dziewczyny z Saladior i nic mi do tego. Jednocześnie uzmysławiam sobie, że jako Bogini Matka, mityczna Anrea, rościłam sobie prawo do rozstrzygnięcia takich właśnie kwestii, bezwzględnego oceniania ludzkich sumień Allearów i uznaniowego ich karania. Coraz bardziej utwierdzam się w opinii, iż byłam nader okrutną Boginią, lecz starych błędów bynajmniej nie zamierzam wечно powielać.

Zasiadam w sali tronowej i zwracam się gestami do Gabu, aby przedstawił wieści z królestwa Saladior.

– Wspomnianym władztwem ciągle targają wewnętrzne niepokoje i z jego strony obecnie nie powinniśmy się spodziewać kłopotów – oświadcza mój zarządca i z własnej inicjatywy dodaje: – Podobnie sytuacja ma się z chanatem Precis, jednakże... – Gabu wlepia wzrok w posadzkę i nie podnosząc wzroku, za to miętosząc rąbek swej szarej, płóciennej koszuli, ponuro oznajmia: – Przyszły właśnie niepokojące wieści z konfederacji Faverson...

– „Jakie wieści”? – zapytuję wobec przedłużające się ciszy.

– Tamtejszy, przewodzący konfederacji jarl Żelaznooki... podczas uczyty zadławił się biedaczek kością kurczaka i zmarł... – mówi Gabu, a ja wspominam starszego mężczyznę z konfederacji, którego swego czasu w niedwuznacznym celu rozebrałam na stole, na tym bynajmniej nie poprzestając. Wobec tamtego wydarzenia i połączenia go z obecnym akurat

przedstawionym, czyli zgonem władcy, tylko wzruszam ramionami. Jednak moje ramiona zaraz mocno opadają, kiedy mój zarządca dopełnia swoją wypowiedź: – Natomiast nowy, głównodowodzący jarl konfederatów okazuje się za to bardzo wojowniczym człowiekiem i od razu wypowiada on wojnę. Lecz niestety kieruje tarcze i topory swych ludzi właśnie w naszą stronę...

Dłuższy czas spoglądam osłupiała na Gabu aż z mocą, niemal gniewem, gestykuluję:

– „Przecież ziemie konfederatów są daleko stąd na północnym zachodzie. Czego oni od nas chcą”?!

Odpowiedzi udziela Exon:

– Zdaje się, że nas zniszczyć.

– „Ale czemu”?! – Nie wytrzymuję i uderzam pięścią w poręcz tronu.

– Wielu monarchów Pendorum uważa cię, pani, za nieprawą władczynię... – zauważa palatyn. – I szczególnie nowi władcy na tronach, aby usankcjonować swą władzę, skłonni są szukać w tobie wroga, by się samemu wywyższyć.

Na te słowa kręcę z niedowierzaniem, jak i niezadowoleniem głową, po czym wyrażam nadzieję:

– „Ale zapewne nie musimy się tu spodziewać licznych wojsk z Favera, a może nawet w ogóle tu nie dotrą”?

W odpowiedzi Gabu chrząka w dłoń i jękliwie pozbawia mnie złudzeń:

– Zwiadowcy donoszą o blisko dwóch tysiącach konfederatów, którzy zmierzają prosto na Skalną Wieżę. Zapewne po drodze przyłączą się do nich oddziały z cesarstwa, chanatu, a nawet królestwa Saladior...

Wobec tej ponurej wyliczanki już zupełnie załamuję ręce i naprawdę nie wiem, co dalej czynić. Zaś w wyniku mej chwilowej niemocy, głos ponownie zabiera Exon:

– Mamy w zamku trzystu zbrojny. Byli lordowie z Saladior, którzy są teraz po naszej stronie, posiadają w sumie około dwustu ludzi. Jednak nieroztropnie byłoby ich wzywać, ponieważ pozostawiliby niebronione własne twierdze. Natomiast siłą pięciuset żołnierzy w polu i tak nie oprzemy się ponad dwóm, a może nawet trzem tysiącom wojowników.

Jednakże... – Palatyn zawiesza głos i rozgląda się po innych obecnych. Następnie podnosi dłoń z wyciągniętym wskazującym palcem i dumnie oświadcza: – Zaznaczam, że dzięki potajemnie zawartym układom handlowym z Allearami możemy liczyć od nich na znaczne dostawy żywności, a co za tym idzie, jesteśmy w stanie przyjąć oblężenie tu, w Skalnej Wieży, na wiele tygodni!

– Handel z Allearami...? – dziwi się naraz Kalilla, marszcząc rzadkie, jasne brwi.

– To może jeszcze możemy liczyć na ich doskonałych wojowników!? – zapala się z kolei Viria. Także i ja spoglądam z ciekawością na Exona, ale on szybko rozwiewa nasze nadzieje, stwierdzając:

– Po śmierci swego wybrańca Allearzy nie mają jednego przywódcy. Obecnie to grupa skłóconych ze sobą klanów, które nie opuszczają swych siedzib i nie zaryzykują życia dla nas, których mimo wszystko... nie darzą wielką sympatią...

Po wypowiedzi Exon, która wyjaśnia wszystko, co najistotniejsze, kiwam ze zrozumieniem głową, po czym gestykuuję:

– „Zatem przygotujmy się do odparcia oblężenia. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby obronić się własnymi siłami, by obronić młode imperium i przysłużyć zwycięstwem uczynić je wielkim”.

Moi kompani kłaniają mi się i wiem, że w nadchodzącej chwili próby każdy z nich da z siebie więcej, niż może, abyśmy nie zostali pokonani i na przekór wszystkiemu, wygrali.

Wszak, zanim dochodzi do ostatecznego zamknięcia bram zamku-twierdzy, przekracza je jeszcze niespodziewany gość. Jest nim jarl Bezręki, który przybywa tu z nietypową propozycją. Tę informację przekazuje mi w zaufaniu Adora i jedynie w jej obecności, jako znakomitej tłumaczki, przyjmuję w sali tronowej przybyłego do mnie arystokratę.

– Pani... – oznajmia jarl, kłaniając mi się lekko. – Jak wiem, znany ci jest już powód mej wizyty. – Spogląda na Adorę. – I zważywszy na powagę sytuacji, ufam, że moją propozycją nie wzgardzisz. Zatem przypominam, że mam pod swoimi rozkazami dwustu doskonałych wojowników. Ponadto jestem w stanie przeciągnąć na naszą stronę kolejnych jarłów niechętnych polityce nowego władcy Favera. Tą drogą, z naszą pomocą, niewątpliwie

zdołasz obronić swe młode imperium. W zamian proszę tylko o jedno, a mianowicie o twoją rękę, szlachetna pani... – Klęka na jedno kolano.

Sama spoglądam na znanego mi mężczyznę z krzywym uśmiechem na twarzy i przeżywam nieprzyjemną mieszankę uczuć. Coś kusi mnie, aby przystać na tę niecodzienną prośbę. Przecież z naszego wspólnego pożycia narodzi się tylko śmierć i najdalej w ciągu roku zostanę wdową, zaś wojska i włości zmarłego małżonka pozostaną przy mnie. Lecz z drugiej strony strategia uśmiercania arystokratów wdziękami swego ciała do tej pory przynosi skutki odwrotne od zamierzonych. Ponieważ każdy nowo mianowany monarcha jest zdecydowanie bardziej wrogo nastawiony wobec mnie od swego poprzednika, a nie tak to miało w moim pierwotnym zamiśle wyglądać. Jednak zauważam coś jeszcze. Otóż zwyczajnie nie chcę pozbawiać istnienia mężczyzny przede mną. Być może przywodzą go tutaj jedynie pragnienie sławy i władzy, a nie chęć dzielenia wspólnego życia ze mną. I zaiste niewątpliwie tak jest, w końcu się praktycznie nie znamy. Lecz to nic nie zmienia, bo teraz, będąc władczynią i walcząc o lepszy świat, jak sama mogłabym być tak podła, by skrycie i nieczym podstępem wykorzystywać innych i zabijać?

– „Odmawiam” – wykonuję ostry, zdecydowany ruch dłońmi niczym uderzenie miecza, przecinające wszelkie dalsze spekulacje na temat mego zamążpójścia.

– To... nierozsądne... – odpowiada z ciężkością w głosie jarl. Rozgląda się na boki, jakby oczekiwał skądś wsparcia, chociaż nikogo więcej oprócz Adory i mnie tutaj nie ma. Następnie bierze głęboki oddech i o dziwo w dość spokojny sposób oświadcza: – Brałem pod uwagę taką odpowiedź, pani, i przez szacunek dla ciebie oraz twoje przeszłe zacne czyny wobec mnie, przyjmuję ten werdykt z pokorą. Jednakże w takich okolicznościach ja i moi ludzie pozostaniemy wierni obecnemu władcy konfederacji Favere. Aczkolwiek nie wszyscy musimy z tobą walczyć... – kończy zagadkowo.

– „Przedstaw ofertę” – przechodzę do rzeczy.

– Otóż... pod byle pretekstem mogę odesłać połowę mych wojowników z powrotem na ziemię konfederacji, a reszta może szturmować mury twojej twierdzy nad wyraz opieszale. W zamian, skoro już tutaj dotarłem, proszę o jedną, drobną przysługę...

– „Jaka”?

– Viria... – rzuca w powietrze jarl. – To kobieta w szeregach twojej armii, pani. Ale również osoba, którą znam osobiście z konfederacji Favere. I powiedzmy, że mam z nią pewien rachunek do wyrównania. Niniejszym przed odjazdem pragnę spędzić z nią noc, jeżeli nie mogę mieć ciebie, pani...

Zastygam nieruchomo na tronie, w zamyśleniu bębniąc z wolna palcami o poręcz mego fotela ostatnio obitego nową, brązową skórą dla lepszego wyglądu. Aż gestykułuję do Adory:

– „Poślij po Virię”.

Wkrótce jesteśmy w komnacie we czwórce. Choć dostrzegam, że przybyła kobieta, na widok jarla Bezrękiego robi wielkie oczy i zajmuje miejsce pod ścianą, jak najdalej od niego. I tego właśnie się obawiałam, iż powodem nietypowej prośby arystokraty nie jest ukryte, wznieśłe uczucie, a chęć wyrównania starych porachunków. Mimo to potrzebuję poświęcenia mojej poddanej, aby choć trochę odciążyć me wojsko w przyszłym oblężeniu. Dlatego patrząc na kobietę rodem z Favere, czynię jednoznaczne gesty, które skwapliwie tłumaczy Adora.

– To żart?! – drze się w odpowiedzi Viria i robi zdecydowany krok w kierunku drzwi. – Nader kiepski żart – dodaje.

– „Jestem twoją władczynią i wydaję ci rozkaz” – pozostaje niewzruszona.

– Więc władasz także moją... – Kobieta spogląda na swoje krocze, a słowa więzną jej w gardle.

– „Jeszcze jedna osoba nie zrobi ci dużej różnicy. Miałaś już wielu mężczyzn, jak również kobiety”.

– Ale sama ich sobie dobierałam, dociera?! –

– „Więc dla odmiany teraz ja ci wskazuję kochanka. Ja, twoja władczyni”.

– Hah! A jeżeli odmówię?! – krzyczy wyzywająco kobieta.

– „Nie odmówisz”.

– A czemuż to, jaśnie pani?!

– „Bo ci każe”! – Wstaję gwałtownie i kładę dłonie na rękojeściach mieczy. W reakcji na moje uniesienie Viria patrzy na mnie z pogardą i mrozi wzrokiem, aż zadziera wysoko brodę, po czym wyniośle oświadcza:

– Będzie, jak sobie życzysz, jaśnie pani, tyranio...

– „To nie jest tyrania. W każdej chwili możesz swobodnie odejść”.

– Ależ zostanę, zostanę... Tobie zaś proponuję od razu założyć w tym zamku burdel. Jesteś na jak najlepszej drodze, pani...

– Ale ma być posłuszna... – zaznacza naraz jarl.

– „Posłuszeństwo to jej drugie imię” – gestykułuję, kończąc doprawdy trudne spotkanie.

Zostaję w komnacie sama ze świadomością, że przed chwilą uczyniłam tu coś, przez co odczuwam doprawdy wielki, palący wstyd. Jednak jako władczyni muszę podejmować dokładnie takie, trudne decyzje nawet w imieniu moich poddanych – powtarzam to sobie, myśląc, że czyn Viri sprawi, iż w niedalekiej przyszłości być może ocali ona swoje i nie tylko swoje życie. Zatem moje postępowanie wydaje się właściwe, a w każdym razie zgodne z racją stanu.

Chociaż gdzieś w moim wnętrzu odzywa się głos, że sama mogłabym ugrać o wiele więcej, oddając się czasowo jarlowi. Czy więc posłużyłam się Virią, aby samej tym razem nie pobrudzić sobie za bardzo rąk? Czy może robię to dlatego, iż coraz częściej ukradkiem spoglądam na Zana i coraz bardziej nie wyobrażam sobie bycia z innym mężczyzną? Te pytania są doprawdy nieznośne i zatruwają mój umysł. Ale czas pytań właśnie się kończy, albowiem oto nadchodzi czas czynów, nadchodzi czas nieubłagalnego starcia.

*

Kolejna fala przeciwników sunie po drabinach na mury twierdzy. Lecz idą oni prosto po śmierć z rąk obrońców w tym moich własnych. Obronimy zamek! Uratujemy imperium!

Uderzam z impetem w tarczę raz i drugi, a gdy wrogi topornik się odsłania, trzeci cios dochodzi do jego klatki piersiowej i pozostawia w niej głęboką ranę. Atakujący żołnierz spada z drabiny, a w jego miejsce pojawiają się następni. Większość z nich nie jest w stanie wdrzeć się na

mury. Szybki koniec spotyka ich jeszcze na drewnianych szczeblach drabin, z których obficie leje się krew. Zaś niektórzy najeźdźcy mają te wątpliwe szczęście wdrapać się na płaską, kamienną nawierzchnię pomiędzy basztami, ale i tutaj ich rychła śmierć jest nieunikniona.

Wtem nad murami zamku-twierdzy przelatuje jeszcze jedna salwa ognistych głazów z katapult. Jeden z pocisków uderza w szczyt muru i skalne odłamki zasypują mnie sobą, po czym obalają na kamienny grunt. Podźwigam się na kolana, trzymając wciąż miecze w dłoniach. Oddycham głęboko i krztuszę się pyłem, który dodatkowo ogranicza widoczność.

Naraz spada na mnie ciało martwego wojownika i zostaje przygnieciona brzuchem do skalnej powierzchni. Na moment tracę wręcz oddech, co chwilę zasysając trochę powietrza do płuc, kiedy ciało na mnie podskakuje od szlachtownia potężnym toporem.

Aż przykrywające moją osobę truchło, jest już rozerwane niemal na pół i zostaje zalana stertą krwawych wnętrzności. Lecz jednocześnie staję się już wolna od ciężaru na sobie. Przeto podrywam się błyskawicznie na nogi i siekę przed siebie mieczami. Moje ostrza napotykają opór w postaci boku wojownika, gdzie wbijają się znacząco poprzez kolczugę.

I raptem się orientuję, że śmiertelnie ranię jednego z obrońców. Ten patrzy na mnie wzrokiem, gdzie ból miesza się z niedowierzaniem. Jednak nie mam czasu załamywać rąk nad popełnionym błędem. Wyjmuję z wojownika krwawe miecze, a jego samego kopniakiem posyłam wprost na atakujących, którzy wdzierają się na mury z drabin. Kilku z nich zostaje przygniecionych ranionym mężczyzną i wspólnie szybują na dół. Ale jak zwykle w ich miejsce podążają już następni. Drogę zagradzają im moi obrońca. Zaś ja, aby złapać oddech, odsuwam się nieco na tyły, w okolice baszty. Zdejmuję z pleców łuk i wyglądam pomiędzy wyniosłościami muru, po czym strzelam do atakujących na drabinach, jak i tłumnie kłębiących się tuż pod nimi.

Wrogięgo topornika trafiam w oko, miecznikowi przeszywam strzałą gardło na wylot. Kolejne drzewce lądują w torsach i brzuchach niezliczonych najeźdźców.

Aż naraz w moje ramię wbija się wystrzelony bełt z kuszy. Krzywię się z bólu, ale nieznacznie. Pocisk utkwił w naramienniku pomiędzy złotymi

warstwami nachodzącego na siebie metalu. Daję radę sama go wyrwać i przede wszystkim czuję, że zranioną rękę ciągle mam sprawną. Ale nie czekam na to, żeby wrogi kusznik poprawił tym razem celnie. Chwytam za miecze i skaczę znowu tuż przed wierzchołek drabiny, gdzie po kostki we krwi od dłuższego czasu masakrują się nawzajem dwie strony wyniszczającego konfliktu. Jednakże ja, dopóki żyję, nie ustąpię!

Ponownie skutecznie atakuję cięciem przez gardło. Wycofuję się przed wrogą włócznią i kontratakuję, zbijając zaostrzone drzewce w bok, a drugim mieczem czynię wypad do przodu. Tym razem nie udaje mi się ugodzić przeciwnika. Za to czymś mieczem zostaję lekko zraniona w przedramię. Zauważam, że o wiele mocniej krwawię z rany na udzie, której nie mam czasu opatrzyć i w ferworze walki nawet nie wiem, kiedy ją otrzymuję. Moje wytatuowane czaszki wręcz toną w morzu krwi.

Wtem ktoś szarpie mnie za pancerz na plecach i odciąga do tyłu. Z trudem powstrzymuję się, aby nie zaatakować tej osoby na oślep. Zamiast tego spoglądam przez ramię, żeby przekonać się z kim mam do czynienia. Jest to Zan, który usilnie coś do mnie krzyczy, ale w ogłuszającej wrzawie z ludzkich gardeł zmieszanej ze szczękiem oręża kompletnie go nie słyszę.

Aż dostrzegam, że grupa obrońców u szczytu drabiny zostaje dosłownie zdmuchnięta z tego miejsca, po czym lecą bezwładnie na dziedziniec twierdzy. Wyglądam za nimi i widzę ich przeszytych potężnym pociskiem wystrzelonym z balistycznego skorpiona. Jednocześnie Zan odpycha mnie jeszcze bardziej do tyłu, a sam z rycerzami Areazara szturmuje pozycję na murach, gdzie w powstały wyłom wlewają się atakujący z drabin.

Oszołomiona próbuję zebrać siły, które mam na wyczerpaniu i kieruję się po schodach na szczyt baszty. Tutaj szukam sobie dogodnego miejsca do strzelania z łuku i za cel obieram odległe jednostki wroga, które czekają w odwodzie. A zaraz czynią one krok wstecz, gdy z pierwszego szeregu padają na ziemię trafiani przeze mnie piechurzy. Wkrótce kończą mi się strzały i chwytam za częściowo opróżniony kołczan leżącego koło mnie, zabitego łucznika.

Wraz z wystrzeleniem wszystkich drzewców ponownie uzbrajam się w miecze i na drżących ze zmęczenia nogach w pośpiechu powracam na mury, by wesprzeć obrońców w kluczowym miejscu. I raptem znowu

uderzają w twierdzę ogniste pociski z katapult, a ja padam na oba kolana. Jednak podnoszę się z kolan! Podnoszę się z kolan i walczę do końca!

Wraz ze zmierzchem przybyli najeźdźcy odstępują od kontynuowania szturmów. Z murów twierdzy widzimy w oddali jedynie światło z ich zapalonych ognisk rozproszonych w mroku niczym chmara światełek.

Gabu szyje moje liczne rany, a kiedy kończy, opatruje innych okaleczonych obrońców. Zaś ich smutne oczy niemal cały czas skupione są na mnie. Widzę, co wyrażają, widzę! Ale nic nie mogę na to poradzić... Nie wywieszę na murach białej flagi Tak się nie stanie!

Unikam moich kompanów i tym samym trudnych dyskusji, w których zapewne namawiana byłabym do kapitulacji. Zamiast tego w mroku nocy stoję samotnie na baszcie i w napięciu wyglądam czy nie dojdzie przypadkiem do nocnego szturmów. Nie zmiaram kłaść się spać, bowiem zdaję sobie sprawę, że jeżeli oblężenie nadal będzie prowadzone z dotychczasową intensywnością, to tych nocy nie mam już wiele przed sobą.

Po kilku dniach walk zdolnych do trzymania oręża pozostaje zaledwie setka moich ludzi, drugie tyle poległo, a kolejnych stu jest rannych. Ilu zaś padło w boju atakujących? Nikt nie jest w stanie zliczyć, a ich trupy pod murami tworzą już tak wysoką, cuchnącą śmiercią stertę, że niebawem będzie się można po niej wspinać zamiast drabin. Natomiast same mury są na ten czas tak spękane od pocisków z katapult, że nie zdziwiłoby mnie, gdy właśnie w tej chwili miały się zawalić i pogrzebać resztę obrońców.

Naraz w moje oczy wlewa się jasność złocistego poranka i zdaję sobie sprawę, że na chwilę nieopatrnie usnęłam. Co więcej, przegapiam przez to moment, gdy wróg znowu podchodzi pod mury!

W przerażeniu spoglądam z baszty w kierunku drabin i wspinających się po nich atakujących. I raptem wielki kamień spada mi z serca, gdy w szyku obronnym z uniesionymi tarczami zauważam Zana na czele rycerzy Arezara. Wyglądam wzrokiem dalej i wiem, że przy innych drabinach swoich żołnierzy strofuje kulejący od rany Exon. Więc i tym razem dostrzegam szansę na to, że damy najeźdźcy krwawy odpór!

Zdejmuję z pleców łuk i sięgam do kołczanu na powrót wypełnionego strzałami. Lecz wraz z pierwszym celnym wystrzałem w odległe szeregi

wroga, ten zaczyna się cofać. Jednak obecnie czyni to wyraźnie, by zaraz odwrócić się do zamku-twierdzy plecami.

W pierwszym momencie zupełnie nie wiem, co o tym myśleć. Ale w chwili, gdy na murach ponownie wybucha zjadła walka, zauważam, iż rozpoczyna się ona także daleko w polu. Niesie się stamtąd bitewny zgiełk i dostrzegam nowe oddziały, które bynajmniej nie wspierają najeźdźców, a ich atakują!

Stoję tak dłużej zastygła, niczym słup soli, choć powinnam cały czas strzelać. Aż raptem przybiega do mnie zdyszany Ravel, wyteżę wzrok, po czym gromko z siebie wyrzuca:

– Toż to sam hrabia palatyn Haward oraz drugi z wiernych Pendorum arystokratów! Wszak... jest tam ktoś jeszcze!

– „Kto taki”?! – gestykuluję żywiłowo.

– Ha! To sam bojar Alexy ze swoją naprawdę pokazną armią! A ta zna się na rzeczy!

Nie, teraz, po tych niezwykłych nowinach, już nie zamierzam strzelać z łuku ani też nie dobywam mieczy. Po prostu obserwuję z murów rozgrywającą się wokół scenę, a moją twarz niezmiennie ozdabia triumfalny uśmiech.

Najeźdźcy wspinający się na drabiny, bez wsparcia z tyłu, porzucają swoje pozycje i w zaistniałym chaosie ruszają do ucieczki. Natomiast zaskoczone odwody wroga ponoszą klęskę nieprzygotowane do bitwy w szczerym polu i to z całkiem licznym przeciwnikiem. Zatem to jest zwycięstwo i jest ono moje. Naprawdę niemal nie mogę w to uwierzyć!

Niebawem jest już po krwawej batalii, a ja znajduję się konno za murami twierdzy, gdzie odnajduję bojara Alexego stojącego na ziemi w towarzystwie moich palatynów.

Zeskakuję z rumaka i podbiegam do nich, by każdego ucałować mocno w policzki. Zaś samego bojara z Razzinal jeszcze w usta. Tak, wiem, nie wypada. Ale do tego stopnia rozpieszcza mnie wielka radość ze zwycięstwa, iż po prostu nie mogę się powstrzymać! A zaraz składam Alexemu dodatkowe podziękowanie:

– „Dziękuję, Dziękuję” – Kłaniam się nisko.

– To był dla mnie prawdziwy zaszczyt przyjść ci, o pani, z odsieczą... – odzywa się także z uśmiechem Alexy. Ja z kolei raz jeszcze gestykuluję:

– „Dziękuję, bojarze, dziękuję”.

– Bojarze, ta... – Naraz zafrasowany arystokrata drapie się po brodzie i jękliwie zapytuje:

– A czy w miejsce tytularnego bojara nie mógłbym zostać twoim palatynem, pani, hę...?

Robię okrągłe oczy, bowiem wręcz nie mogę uwierzyć w moje szczęście:

– „Przyłączysz do mego imperium miasto Orizzo”?! – czynię gesty nad wyraz zamasyście. Na co Alexy spogląda dłuższy czas na czubki swoich butów, zupełnie jakby analizował ich czystość. Wreszcie podnosi wzrok na mnie i z pewnym zakłopotaniem oznajmia:

– Obawiam się, że nie sprawuję już władzy nad miastem Orizzo, podobnie jak wszelkimi innymi włościąmi w księstwie Razzinal... Otóż wiedz, droga Matko Cień, że dawny książę nieszczęśliwie zginął na polowaniu, a u jego następcy popadłem w niełaskę...

– „Rozumiem” – gestykuluję raptem przygaszona. Lecz okazuje się, że to nie koniec złych wieści:

– Ponadto obecny książę Razzinal nie pała sympatią nie tylko do mnie... – zauważa bojar. – Również imperium Pendorum zdaje się mu zawadzać, ponieważ właśnie zmierza tu z dalekiej północy na czele wielotysięcznej armii...



V. WOJNA Z KSIĘSTWEM RAZZINAL

Tak to już jest na wojnie, raz można się raczyć słodyczą zwycięstwa, a innym razem oczekuje goryczy prawie nieuchronnej porażki. Aczkolwiek ostatecznie nigdy nie wiadomo, jaki czeka nas los – myślę w ten sposób, głaskając delikatną dłoń dzieciątka Adory. Zaraz uśmiecham się, gdy zauważam, że rosnący jak na drożdżach malec z powagą liczy moje piegi na twarzy. Lecz tych mam tak wiele, że maluch musi jeszcze sporo podrosnąć, by móc je wszystkie zliczyć. Na odchodne obiecuję mu nową zabawkę. Jeszcze nie wiem jaką, ale wkrótce niewątpliwie znajdę coś godnego syna Exona oraz Adory.

Niebawem zasiadam już na tronie i spokojnie spoglądam na moich starych, wiernych kompanów, jak i nowych w postaci trójki arystokratów, którzy także mnie nie zawodzą. W takim otoczeniu doprawdy łatwiej jest znieść trudy panowania i toczącej się wojny, jak również poruszać trudne sprawy, z którymi nie ma co zwlekać:

– „Są już wieści z podległej ci wioski”? – gestykułuję w kierunku Exona.

– Tak – odpowiada mężczyzna obecnie z imperium Pendorum. – Wioska szczęśliwie nie została splądrowana, ponieważ najeźdźcy spodziewali się przejąć ją na trwałe w swoje władanie.

– „Ale nie pozwoliliśmy na to”! – Z satysfakcji aż przyklaskuję w dłonie. – „To dobre wiadomości”.

– Lecz są również inne wieści z wioski Pirt naszego szacownego palatyna, nieprawdaż...? – odzywa się kąśliwie Ravel.

– „Przedstaw je” – zachęcam.

– Otóż odwiedzając ostatnio wspomniane miejsce, dowiedziałem się, że nasz jurny palatyn wprowadził w swych włościach prawo pierwszej nocy...

Wobec takich informacji spoglądam kwaśno na Exona i zapytuję go:

– „Czy to prawda”?

– Tak – odpowiada, bynajmniej nie okazując pokory. – Mieszkańcy wioski muszą czuć nad sobą nadrzędną władzę. Takie same prawa obowiązywały tam, gdzie się wychowałem.

– Więc może naprawdę jesteś synem arystokraty, a nie kowala, ha! – podśmiechuje się Viria. Na co Exon mrozi ją srogim wzrokiem i wżgardliwie do niej rzuca:

– Może zainteresuj się własnym partnerem, który podczas przeprowadzanych zwiadów odwiedza me włości i w niedwuznacznym celu nagabuje młodych, męskich mieszkańców...

– Ale ja ich tylko uwodzę, nikogo nie biorę przymusem – oświadcza bez żenady mężczyzna rodem z Precis. Zaś jego partnerka wzrusza tylko obojętnie ramionami i stwierdza: – Sama mam nieraz ochotę na niektóre rumiane wieśniaczki...

Słucham tej wymiany zdań pełnej wzajemnych uszczypliwości. Osobiście jednak koncentruję się na Kalilli, aby sprawdzić, jak się zachowa wobec zarzutów obciążających Exona. Lecz kiedy spotykają się nasze spojrzenia, ta kobieta wymownie opuszcza wzrok na swe ciągle płaskie łono, a potem spogląda na mnie wręcz w oskarżycielski sposób. Rozumiem, obwinia mnie o to, że ciągle nie nosi w sobie dziecka i przez to usprawiedliwia poczynania partnera. Ja z kolei muszę myśleć o dobru mego imperium, dlatego po chwili namysłu, gestykułuję:

– „Jako najwyższa władczyni cofam prawo pierwszej nocy w wiosce Pirt, ponieważ nosi ono znamiona niewolnictwa. Nie możemy swobodnie dysponować ciałami poddanych”.

– Ależ oczywiście, że nie możemy, wasza jaśnie sprawiedliwość... – drwi Viria i wymownie pokazuje na swój siniec pod okiem, pamiątkę z niedawnej upojonej nocy z jarłem. – Zapewniam, że Bezręki nie był niestety bezjeczny, a jedyną posiadaną piąchą też potrafił przywalić – docina z wyrzutem.

Krzywię się na twarzy, uświadamiając sobie własną hipokryzję i dla osłody dodaję:

– „Jednocześnie zaznaczam, że pan swych włości może słać swym poddanym kobietom podarki i za ich zgodą z nimi współżyć, zezwalam na to”. – Dostrzegam łagodniejące rysy na twarzy mego dopiero co oburzonego palatyna, byłego kowala. Sama zaś wzdycham z ulgą, że udaje mi się zawrzeć kompromis. Następnie zwracam się do Gabu:

– „Jakie wieści z imperium Pendorum masz mi do zakomunikowania, zarządco”?

– Odnośnie do niewolników, jeśli można... – mówi z pokorą mój wierny kompan.

– „Można” – Uśmiecham się lekko.

– Tak więc... – kontynuuje Gabu. – Po naszym ostatnim zwycięstwie ponownie napływa do nas więcej zniewolonych ludzi, a obecnie uciekinierów, z cesarstwa. Jednak zgodnie z rozkazem pozwalamy pozostać jedynie tym mężczyznom oraz kobietom, którzy gotowi są chwycić za oręż...

– „Większej ilości i tak nie zdołamy wykarmić” – stwierdzam ze smutkiem.

– Ponieważ połowę zapasów przejada systematycznie sam Gabu – rzuca w powietrze Ravel.

– Tak, to prawda... – potwierdza grubas. – To znaczy nie, ale... – Spogląda na mnie zmieszany. Lecz zaraz się reflektuje i powracając do poprzedniego tematu, oznajmia: – Z konieczności odsyłamy wielu niewolników i powracają oni do Terraticos, a tam czeka ich straszny los... Z rozkazu cesarzowej Tiry każdy taki niewolnik, nie ważne mężczyzna, kobieta, czy dziecko, jest krzyżowany na granicy z imperium Pendorum... – Nastaje przygnębiająca cisza, a czary goryczy dopełniają następne posępne wieści Gabu: – Ponadto w ościennych władztwach szerzą się plotki na twój temat, Wasza Wysokości, a odkryłem, że rozsyłane są i podsycane przez ludzi cesarzowej Tiry...

– „Co o mnie powiadają” – zapytuję obojętnie.

– Mówią... – Gabu czyni naprawdę cierpiętniczą minę i widać, że kolejne słowa przychodzą mu z trudem: – Otóż ludzie prawią, że twoim jedynym napitkiem jest krew niemowląt uprowadzanych z sąsiednich

władztw. Zaś pożywieniem surowe, kobiece wnętrzności dziewic oraz męskie genitalia... – Naraz Viria wybucha tłumionym śmiechem, a mój zarządca kontynuuje: – Chodzą też słuchy, że w Skalnej Wieży nieustannie rozbrzmiewają wrzaski torturowanych jeńców. Natomiast nieposłusznych ci ludzi sprzedajesz, pani, Allearom, którzy obdzierają ich żywcem ze skóry... Ponadto...

– „Dosyć” – podnoszę zdecydowanie rękę. – „Wystarczy” – stwierdzam stanowczo.

– Ale... – Gabu w swoim zwyczaju, kiedy jest zafrasowany, miętosi rąbek swej koszuli i zauważa: – Moi szpiedzy postarali się w rewanżu dowiedzieć, jak wobec poddanych zachowuje się sama cesarzowa Tira. I oni przynoszą dla odmiany, jak najbardziej prawdziwe wieści, skąd inąd nie mniej przerażające...

– „Mów”.

– Otóż na cesarski dwór w Etos Tira sprowadziła czarowników z samej Otchłani. W efekcie, aby za ich sprawą zyskać moc oraz mądrość, przystaje na ich wszelkie sugestie...

– „Do rzeczy”.

– Ona, władczyni Terraticos... czyni to wszystko, co przypisuje tobie, pani... – Czynię pełen obrzydzenia grymas na twarzy, który się coraz mocniej zarysowuje, ponieważ Gabu raczy mnie dalszą odstręczającą treścią: – Ponadto cesarzowa zażywa kąpieli w świeżej krwi wykrwawiających się osób... Chodzi w ubraniach z ludzkiej skóry, aby własną uczynić jedwabiącą doskonałą... Zjada witalne, ludzkie organy, by rozwinąć w sobie siłę... A także...

– Czy możemy w końcu powrócić do spraw wagi państwowej! – grzmi naraz Exon. – Owszem, wiemy już, że za sprawą cesarzowej Tiry mamy do czynienia z prawdziwą tyranią. Ale w obliczu ciężkiej wojny, czyż nie powinniśmy skupić obecnie wszystkich sił na kwestiach militarnych, aby obronić się przed potężniejszym przeciwnikiem?!

– Kiedy ja posłuchałabym jeszcze o tej cesarzowej... – Viria zagryza kciuk w demonicznym uśmiechu. Sama wzdycham ciężko, starając się odgonić od czarnych wizji snuty przez Gabu i w duchu przyznaję rację Exonowi. Dlatego czynię następujące gesty:

– „Jak wygląda sytuacja w ościennych władztwach? Kto wciąż zamierza z nami walczyć i jakimi dysponuje siłami”?

Odpowiedzi udziela mój zarządca:

– Szpiedzy donoszą, że zarówno w chanacie Precis, jak i królestwie Saladior zakończyły się już niepokoje związane z wyborem nowych władców. W konsekwencji do zmierzającej do nas wielkiej armii z księstwa Razzinal dołączają wojska ze wszystkich ościennych władztw... I ta rzeka wrogich nam żołnierzy ciągle wzbiera... Prawdę mówiąc, to już prawdziwa powódź...

– Więc czeka nas potop...? – rzuca beztrąsko Ravel.

– „Ilu przeciwników możemy się spodziewać”? – czynię gesty. Zaś odpowiedź Gabu sprawia, że całkiem zamieram:

– To już jest fakt. Zjednoczył się przeciw nam cały kontynent Pendorum i na naszych ziemiach musimy się liczyć nawet z... dziesięcioma tysiącami wrogich nam żołnierzy... Przykro mi, niezmiernie...

– Więc to koniec, musimy się poddać... – stwierdza dobitnie obecny w komnacie palatyn Alexy. Spoglądam na niego, jak również na innych i dostrzegam, że wszyscy kiwają z lekka głowami na zgodę. Wszyscy poza Zanem. Ogniskuję wzrok na bliskim mi zakonniku, a jego dumny widok jakby tchną we mnie siłę i zaraz intensywnie gestykuluję:

– „Nie poddamy się, nigdy! Zawsze istnieje cień szansy na zwycięstwo, ale by po nie sięgnąć, musimy być niezachwiani i walczyć”!

– Walczyć...? – zapytuje rezolutnie hrabia palatyn Haward. – Będziemy mogli wystawić najwyżej pięć setek ludzi. Więc kryjąc się za murami tej twierdzy, każdy z nich musiałby pokonać dwudziestu przeciwników w szeregach wroga. Lecz nie pokona, bo wcześniej nadwyrężone mury tego zamku zwyczajnie zwałą się im na głowy...

– „Zatem wyjdziemy walczyć w pole”!

– Raczej zginąć... – jęczy żałośnie Alexy.

– „Dość tego”! – czynię zdecydowane ruchy dłońmi. – Jeżeli ktoś chce mnie zawieść lub zdradzić, to odpowiedni ku temu moment, bowiem nie wymierzę za to kary. Więc proszę, droga ucieczki staje otworem”! – Wskazuję na wyjście z komnaty. – „Lecz każdy, kto zostanie, jutro wyrusza

ze mną naprzeciw wrogiej armii, by walczyć i wygrać albo zginąć w chwale”! – Nikt z obecnych nie decyduje się opuścić sali tronowej. – „Zatem postanowione”! – podsumowuję naradę zamaszystymi ruchami dłoni zdradzającymi pewność siebie. Choć wewnątrz trawi mnie dojmująca niepewność, której jednak, jako słabości, będąc władczynią, nie mam prawa okazać. Ponieważ to byłby już w tej chwili dla nas wszystkich definitywny koniec.

*

W obliczu nadciągającego wroga nasza armia rozbija obóz w zakolu rzeki na pograniczu z królestwem Saladior. Wokół znajdują się lasy oraz wzniesienia, które idealnie można wykorzystać do uzyskania taktycznej przewagi nad przeciwnikiem. To znaczy, można by było, gdy jego przewaga liczebna nie była aż tak przytłaczająca. A wobec rażącej dysproporcji sił nikt z nas w głębi tak naprawdę nie wierzy w ocalenie, choć otwarcie się do tego nie przyznajemy. Wszyscy jednak w jakiś sposób przeczuwamy nadciągającą klęskę i w obliczu tego puszczają nam dotychczasowe hamulce. Widzę to, podglądając mych wiernych kompanów, kiedy wypuszczam w przestrzeń swego wyzwolonego ducha.

Chyba po raz pierwszy zauważam Gabu rozmawiającego sam na sam z Ravelem. Siedzą razem nad rzeką i dyskutują, chociaż nie tylko. Mój zarządca podarowuje mężczyźnie rodem z chanatu tajemniczy płyn, o którym prawi z wielkim przekonaniem, iż jest to tonik nieśmiertelności sporządzony na bazie żywicznej krwi i po jego spożyciu człowieka nie imają się strzały w bitwie, ani nie dosięga go inny oręż. Cóż, wiem, że pocieszny Gabu kłamie w żywe oczy, ale robi to z dobroci serca, aby wlać otuchę w kompana. Więc jak mogłabym go za to potępić, za kłamstwo w dobrej wierze?

Z kolei Ravel nie pozostaje dłużny i układa z patyków niezwykle misterne wzory. Stwierdza, że właśnie rzuca potężne zaklęcie, które może być uczynione tylko raz na sto lat. Lecz dzięki niemu Gabu ma własnoręcznie pokonać co najmniej stu ludzi albo wręcz wielokrotność tej liczby. Oczywiście to także jest kłamstwo, jednak w tej chwili jakże potrzebne, czyż nie?

Wkrótce do mężczyzn podchodzi Viria z figlarnym uśmiechem na ustach i zabiera ze sobą Ravela, pragnąc mu coś w tajemnicy przekazać. Nie podsłuchuję tego sekretu, zamiast tego podążam do Adory oraz Kalilli.

Dziewczyna zwierza się z tego, że za pierwsze w życiu zarobione, większe pieniądze potajemnie kupiła niewolników, których sprzedała z dużym zyskiem. Lecz gdy dowiedział się o tym jej ojciec wpadł w wielki gniew. Jego złość była wręcz niewysłowiona i aby srogo ukarać córkę, sam sprzedał ją w niewolę. I w ten właśnie sposób Adora trafiła do szkoły gladiatorów Artusa.

Kalilla na to rewanżuje się opowieścią o znanej jej praktyce Kan Li, która tak naprawdę nie jest tajemną sztuką równoważenia energii znaną w kręgu arystokratów. Jest to ponoć sposób, aby mężczyzna mógł powstrzymać swój impuls do natychmiastowego zaznania pełnej rozkoszy i był w stanie całą noc kochać się z kobietą. Kalilla oznajmia, że nauczona została tej sztuki w burdelu, aby jak najdłużej zatrzymywać przy sobie licznych kochanków i tym samym dostawać od nich wyższą zapłatę.

Następnie jestem już w namiocie modlącego się tylko w przepasce biodrowej Exon, którego niespodziewanie odwiedza Viria. Również i tę parę widzę po raz pierwszy sam na sam ze sobą.

– Co tutaj robisz? – rzuca lekceważąco Exon.

– A jak myślisz...? – Kobieta zrzuca z siebie cienki płaszcz, odwiązuje przepaskę z piersi i półnaga, kołysząc uwodząco biodrami, podchodzi z wolna do mężczyzny. Ten szorstko oznajmia:

– Ubierz się, natychmiast.

– Kiedy... wolałabym się jeszcze bardziej rozebrać... – mówiąc to, Viria ściąga sobie przepaskę biodrową, zakłada ją na kark mężczyzny i wodzi językiem po potężnym torsie. Na co Exon odciąga kobietę za czarne włosy od swego ciała.

– Jesteś pijana – karci ją.

– Może trochę... – jęczy. – I co z tego...?

– Ano to, że nie jesteś sobą.

– Ależ jestem, jestem... Zawsze jestem... sobą... – Viria wyciąga przed siebie długi język i jego koniuszkiem dosięga męskiego sutka.

– Nie dam ci zrobić czegoś, czego potem razem będziemy żałować.

– Otóż ja nie będę, nie będę... – odgryza się uwodzicielsko kobieta i uzasadnia swoje niedwuznaczne zachowanie: – Dopiero co nakryłam Ravela w łóżu z jakimś mężczyzną, znowu. I wiesz co? Mam wielką... wielką ochotę ukarać mego partnera. Zaś sobie dać w zamian nieco przyjemności... – kończy łagodnie, uśmiechając się kusząco. Ale Exon pozostaje nieugięty:

– Wyjdz stąd w tej chwili, zanim powróci Kalilla.

– Nie powróci... Otóż ona nie powróci... Bo właśnie wyruszyła na konny zwiad i miałam cię o tym osobiście powiadomić...

– Jesteś pewna? – Exon naraz spuszcza z ton.

– Ależ tak, oczywiście... Sama wysłała mnie do ciebie z tymi wieściami... Więc oto przybywam i cała jestem na twoje rozkazy...

Mężczyzna wzdycha ciężko, spoglądając na kobiety biust. Na co Viria ujmuje jego dłonie i kładzie sobie na piersiach.

– Zawsze chciałeś ich dotknąć, pomiętosić, zobaczyć, jakie są jędrne, prawda...? – uwodzi. – No dalej... Czujesz, jak twardnieją mi sutki...? – No ściskaj... możesz nawet sprawić mi ból...

– Nie odzywa się tak do mnie. Masz być całkiem uległa i posłuszna... – chrypi poniżającym tonem Exon.

– Ależ wedle życzenia... Wasza Wysokość, palatynie...

– Klękaj i ukorz się. – Mężczyzna puszcza kobiecie piersi.

– Jak każesz... – Obniżając się, Viria wodzi językiem po męskim ciele. Aż opada na oba kolana i w tej pozycji kontynuuje pieszczoty ustami na linii pasa Exona. Ten oddaje się wielce przyjemnemu uczuciu, aż władczo oświadcza:

– Klęknij z czołem opartym o podłogę i wypnij pośladki.

– Tak, panie... – Viria wykonuje polecenie.

Po chwili mężczyzna powraca do niej od tyłu i silnie krępuje jej sznurem ręce na plecach.

– Och, to boli... – jęczy Viria i czyni to nie wiadomo z rozkoszy czy bólu. A zaraz Exon tamuje jej usta dłonią, gdy kobieta pragnie krzyknąć po

przypaleniu jej pośladka zapaloną pochodnią.

– Masz nie wrzeszczeć, masz cicho błagać o jeszcze i skamleć... – cedzi przez zęby mężczyzna i bierze kobietę od tyłu, wykonując mocne uderzenia biodrami. Jednocześnie zabiera rękę z ust kochanki, a ta żałośnie popiskuje:

– Och, Ah, och...

– Zawsze wiedziałem, że tego chciałaś, suko... Tylko kiepsko się do tego zabierałaś ze swoją niewyparzoną gębą.

– Och, tak, przepraszam, panie... – jęczy Viria.

– Chociaż ten jeden raz zaznasz w sobie prawdziwego mężczyzny.

– Och, tak...

– Jeszcze trochę, już zaraz... – stęka Exon. Gdy wtem między połami namiotu pojawia się nie kto inny jak Kalilla. Staje ona niczym zamurowana z wytrzeszczonymi oczyma, zupełnie jakby zobaczyła przed sobą kopulujące potwory. Powstała raptem ciszę przerywa rubaszny rechot Viri. Następnie Kalillę odpycha Ravel, podbiega do partnerki i nożem rozcina jej więzy. Chwyta ją za rękę i śmiejąc się dziko, razem wybiegają z namiotu.

To właśnie moi wierni kompani w całej swej krasie – myślę, podsumowując wizytację w obozie. Przyznaję, że żaden z mych najbliższych znajomych ze szkoły Artusa nie jest pozbawiony wad i naprawdę daleko im do świętoszków. Ale czy to źle? Nie, nie odczuwam tak tego, akceptuję ich dokładnie takimi, jakimi są, jako mą obecną, jedyną rodzinę. I przenigdy nie potępię ich za ich czyny, nawet niestosowne i nie przeklnę, jak pierwotnie Allearów. Cóż, być może stąpając po kontynencie Pendorum przez tysiące lat jako człowiek, czegoś się wreszcie o sobie i ludziach, nauczyłam...

A że jest już w przeddzień wielkiej bitwy, to sama decyduję się spędzić te ostatnie chwile tak, jak dyktuje mi serce. Dlatego zapraszam na konną przejażdżkę Zana. Przyjmuje on zaproszenie i niebawem w świetle księżyca oraz migotliwych gwiazd gnamy wspólnie na rumakach i w ciszy w kierunku niezbyt odległych skał.

Tutaj się zatrzymujemy, a ja podaję mężczyźnie dłoń. Idziemy razem, trzymając się za ręce do pobliskiego wodospadu. W nocnym świetle wygląda on doprawdy niezwykle.

Rozbieram się do naga i wchodzę pod spadającą wodę. Ustawiam twarz do góry i zamykam oczy, czując na ciele niesamowitą rzeźkość od zraszającej mnie z impetem zimnej cieczy. A zaraz mam na sobie również męskie ramiona zaplecione na mych piersiach i za sobą nagiego Zana.

Stoimy tak przytulenie do siebie doprawdy nie wiem, jak długo. Czas, przestrzeń i cały świat wokół oraz jego wszelkie wymiary, ludzkie czy boskie, wydają się wręcz nie istnieć. Kiedy zaś odwracam się przodem do mężczyzny, wita mnie na horyzoncie krwawy świt. Ale nie tylko on, także usta Zana i w tym momencie łączy nas długi pocałunek – to wszystko. Potem się ubieramy i powracamy do obozu, gdzie rozlegają się już sygnały gotujące żołnierzy do rychłej bitwy.

*

Siedzę na karym koniu w swoim odzieniu gladiatrix i przyglądam się z nieskrywaną dumą moim oddziałom, które stoją w lekkim słońcu w pełnej gotowości. Piechota dowodzona przez Virię, łucznicy Kalilli, jazda Exona oraz Ravela, a w odwodzie Gabu z Adorą i grupą uzbrojonych niewolników. Po bokach zaś stacjonują wojska moich pozostałych palatynów. Wydaję bowiem rozkaz, że w tej bitwie każdy z mych arystokratów będzie osobiście dowodził swoim wojskiem, dokładnie tak, jak miało to miejsce dawno temu za czasów chwalebного Etosa.

Tymczasem naprzeciw nas rozciągają się nieprzeliczone zastępy wroga. Jego ucieleśnieniem jest cesarzowa Tira, samozwańcza mityczna Anrea, której pozostali władcy powierzają dowodzenie olbrzymią armią. I rzeczywiście można by pomyśleć, iż jest ona Boginią. Bowiem w pewien sposób wypełnia ona prorocstwo. Mianowicie prawie udaje jej się zjednoczyć cały kontynent. Lecz czyni to w jednym celu, aby mnie zgładzić. Choć z drugiej strony może to ja sama dokonuję tego zjednoczenia przeciw swojej osobie? Muszę przyznać, że los doprawdy potrafi być wielce przewrotny.

Aż raptem w szeregach nieprzyjacielskich wojsk rozlega się donośne trąbienie i bicie w bębny. Tak, jest to sygnał na trwogę, znam ten złowrogi, przytłaczający ton. Słyszałam go już kiedyś, biorąc udział w bitwie o stolicę cesarstwa Terraticos. Więc już czas, już czas – powtarzam sobie, zaciskając kurczowo dłonie na rękojeściach mieczy.

Spoglądam odważnie na ciągnącą się po całym horyzont linie wrogich żołnierzy i naraz odnoszę wrażenie, iż zawodzi mnie mój własny wzrok. Otóż wydaje mi się, że armia przeciwnika nie kroczy ku nam, tylko coraz bardziej się od nas oddala.

Spoglądam nerwowo na Ravela i zdecydowanym gestem dłoni przyzywam go do siebie. Ten galopuje do mnie i zaraz mruży swoje skośne oczy, po czym w zadumie oznajmia:

– To chyba odwrót... Najprawdziwsze w świecie wycofanie się z pola walki...

Z Ravelem u boku spoglądam osłupiała, jak nieprzebrana rzesza żołnierzy coraz bardziej niknie na widnokręgu, aż całkiem znika, niczym miraż rozplywający się w powietrzu. Także początkowo ogłuszające odgłosy trąb oraz bębnow rozchodzą się coraz cichszym echem i w końcu również milkną.

Odwracam się ku moim ludziom, ale wszyscy odczuwają dokładnie to samo – całkowity brak zrozumienia dla zaistniałej sytuacji. Dlatego mija jeszcze naprawdę sporo czasu, a każde z nas pozostaje na miejscu, nie wymawia żadnego słowa ani też nie czyni gestu.

Aż w pewnym momencie od strony, gdzie dopiero co zginęła nam z oczu wroga armia, pojawia się samotny jeździec. Zatrzymuje się tuż przy mnie, a po ubiorze i specyficznej chorągwi z malunkiem, jakby liści, rozpoznaję, że jest on posłańcem cesarzowej Tiry. Nie kłania mi się, tylko pokazuje w swych dłoniach miniaturową koronę i dumnie oświadcza:

– Wdowa po wybrańcu Allearów zjednoczyła ich klany i w sile tysiąca wojowników najechała królestwo Saladior. Dlatego cesarzowa Tira jako odrodzona Anrea, zgodnie z wolą naszego ludu udaje się najpierw pokonać naszego odwiecznego wroga. Natomiast po jego zgładzeniu, nasza pani życzy sobie, abyś była choć trochę godna skrzyżowania z nią oręża i nalega, żebyś w końcu, jak na władczynię przystało, ozdobiła swą głowę koroną.

Na te niezwykle słowa tylko uśmiecham się pobłaźliwie, bo w tym niezwykłym momencie tak czy inaczej, czuję, iż na swój sposób triumfuję. I już mam nałożyć na głowę sprezentowaną mi koronę, ale stwierdzam, że to z kolei żart cesarzowej, bowiem ze względu na swe gabaryty

podarowany przedmiot nadaje się co najwyżej na główkę dziecka. Dlatego wzywam do siebie Adorę.

– „Przyjmuję dar, ale ofiaruję go komuś godniejszemu ode mnie, a ta osoba wskaże ci drogę” – gestykuuję do posła, po czym kontynuuję do matki dziecka, przekazując, aby obdarowała koroną Rodena, na co dziewczyna się godzi.

Jednocześnie przez szeregi mojej armii już przemyka niczym rączka łania wiadomość, że oto tego dnia nie przyjdzie nam tutaj zginąć! Żołnierze uśmiechają się do siebie i poklepują po plecach. Tu i ówdzie dają się słyszeć radosne okrzyki i wiwaty. Dostrzegam, że nawet Exon oraz Viria obdarzają się wzajemnie kwaśnym uśmiechem. Zaraz potem Kalilla tuli do siebie mego palatyna, a on zdaje się ją usilnie przeproszać. Wszyscy wokół zachowują się, zupełnie jakby ofiarowano im nowe życie. Podczas gdy prawda przedstawia się tak, iż zaistniała sytuacja to jedynie odroczone wyrok. Jednak poczucie ulgi jest jak najbardziej uzasadnione. Dlatego wieczorem pozwalam sobie na kilka kubków wina w moim namiocie i w towarzystwie mej niezawodnej tłumaczki, Adory, przyjmuję kolejnych gości.

Ostatnim z nich jest Gabu, który zjawia się już w nocy, ponieważ jak na tego poczciwca przystaje, wcześniej przepuszcza wszystkich petentów. Lecz po jego zafrasowanej minie dostrzegam, że inaczej, jak większość gości, nie przychodzi składać mi gratulacji z powodu ocalenia imperium. Wobec tego i ja, mimo sporej ilości wypitego wina, poważnieję, zamieniając się w słuch.

– W wyniku niespodziewanego najazdu Allearów cesarzowa Tira nie mogła nas zaatakować jako pierwszych, to zrozumiałe. Bowiem, jako osoba podająca się za mityczną Anreę, jej absolutną powinnością jest walczyć przede wszystkim z tym przeklętym ludem. Inaczej naraziłaby się na gniew i niezrozumienie ze strony możnych panów... – Na ten wywód Gabu kiwam na potwierdzenie głową. Chociaż sama, jako Anrea, bynajmniej nie poczuwam się do obowiązku tępienia Allearów i mego stanowiska nie zmieniłby nawet gniew arystokratów. Z kolei Gabu kontynuuje: – Lecz czy kogoś zastanowiło... dlaczego wszyscy nowi monarchowie tak ochoczo oddali się pod komendę innej władczyni, co jest sytuacją bez precedensu w historii Pendorum?

– „Mnie” – gestykuuję, wskazując na siebie i uśmiecham się trochę głupkowato. To właśnie efekt w nadmiarze spożytego wina, ale nic nie poradzę, dzisiaj świętuję! Natomiast niezrażony Gabu wyjaśnia:

– Otóż pewnej tajemnicy cesarzowej nie dało się dłużej trzymać w sekrecie i oto prawda objawia się taka, jaką jest...

– „A jaką jest”? – Robię się coraz bardziej zaczepna.

– Wszyscy nowi monarchowie to synowie cesarzowej Tiry. – Na to wyznanie raptem niemal trzeźwieję, a Gabu odkrywa przede mną kolejne niespodzianki: – Za pomocą szpiegów zdążyłem przeprowadzić własne śledztwo. I wykazało ono, że tuż po narodzinach, każdego ze swoich synów Tira wysyłała do przybranych rodziców ze znamienitych rodów. Każdego chłopca do innego władztwa. I to jest owa tajemnica, czemu obecnie kontynent Pendorum jest zjednoczony. Oto zasiadające na tronach dzieci wspierają swą matkę – podsumowuje dobitnie Gabu.

Zapada cisza, a ja zastanawiam się, co takiego te wieści mogą w konsekwencji oznaczać. W efekcie moje oblicze coraz bardziej pochmurnieje. Ponieważ dochodzę do wniosku, że cesarzowa Tira, jak nikt, rzeczywiście posiadała szansę na trwałe scalenie w jedność całego kontynentu. Jednakże co to będzie za świat i pokój na nim, skoro ta osoba daje się poznać kimś tak bezwzględny i okrutnym, traktującym ludzi przedmiotowo i niewahającym się skazywać ich na okrutną śmierć? Nie, to nie będzie żaden pokój – rozmyślam tak, a w przestrzeni ponownie rozbrzmiewa poważny głos Gabu:

– Jest też inna niepokojąca kwestia, której do tej pory całkiem nie rozgryzłem. Mianowicie dotarłem do świadków, którzy zarzekają się, że Artus, zmarły mąż Tiry, był od zawsze impotentem. Ot ziszczona klątwa Bogów... Natomiast wszystkie dzieci byłej małżonki Artusa pochodzą ponoć od jej jedyne go kochanka, który jest zakonnikiem Arezara. Wszak to jeszcze nie koniec, bo Tira ma posiadać ze wspomnianym mężczyzną również córkę...

Na te z kolei wieści wzruszam bezradnie ramionami. Aż w pewnym momencie obok mnie oraz Adory i Gabu pojawia się służka z dzieckiem na rękach. Uśmiecham się na ten kojący widok i gestykuuję do matki chłopca:

– „Pora karmienia”? – Na co Adora kręci przecząco głową i wyciąga ręce po Rodena. Jednak służka zastyga w miejscu i nie oddaje malca. Aż zniecierpliwiona matka rozkazującym tonem oświadcza:

– Oddaj mi moje dziecko.

– Kiedy ono... – Głos służącej wyraźnie drży.

– Oddaj mi je! – krzyczy już na dobre zdenerwowana Adora.

– Ale... – Służąca oddaje chłopczyka matce i łkając, łamiącym się głosem oznajmia: – Poślaniec, który wręczył dziecku koronę... On nagle zmarł... I potem koroną bawił się Roden... Ale raptem przestał oddychać... To dziecko nie żyje... To ta korona go zabiła!



VI. WOJNA O PENDORUM

Łakomstwo. Nie, nigdy nie pożałowałam wyjątkowego jedzenia ani napitka, a moje podniebienie nie było dla mnie niczym wyjątkowym. I gdyby tylko zaistniała taka możliwość, mogłabym żyć wręcz samym powietrzem. Jak powiedział Etos: „pożywienie jest dla ciała i ducha, nie zaś odwrotnie”.

Rozpusta. Nie, nie uganiałam się nigdy za kochankami. Miłość i pożądanie przychodziły do mnie i odchodziły w naturalnym rytmie niczym raz wzburzone, a innym razem łagodne fale oceanu. Dzieliłam swe ciało z innymi, mając ku temu powody. Przeto bezwzględnie panuję nad swoją cielesnością. Jak powiada Etos: „nie ma dobrego powodu, by wzbraniać się przed miłością, choć nie ma go też, by się w miłości zatracać”.

Chciwość. Złoto jest rzeczą nieomal mi obcą i nie ma na mnie sprawczego wpływu. Nigdy nie poniżyłam się do tego stopnia, aby szukać radości w materialnych dobrach. Pieniądze istnieją w moim odczuciu jedynie jako droga do celu, nie zaś cel sam w sobie. Jak wspomina Etos: „pomnażaj majątek, nie trwoniąc samego siebie”.

Gniew. Nie, nie jestem i nigdy nie byłam wybuchową osobą. I te ogniste uczucie na dłużej mną nie zawładnęło, aby mnie pochłonąć. Zaś dodatkowa praktyka Kan Li sprawiła, iż wyjątkowo skutecznie panuję nad emocjami. Jak prawi Etos: „w równowadze twa siła, a siłą jest równowaga i spokój”.

Zazdrość. A czego i komu miałabym zazdrościć? Stąpam po tym świecie już na tyle długo, by wiedzieć, że nie istnieje nic bardziej pozornego i ulotnego niż szczęście. Wszystko przychodzi jedynie po to, by niebawem odejść i jeżeli ktoś tego nie rozumie, pozostaje mi jedynie mu współczuć, a nie zazdrościć. Jak powiedział Etos: „nie pożądaj nadmiernie czegoś, z czym i tak przyjdzie ci się rozstać”.

Pycha. Nie ma we mnie dumy i nigdy nie było. Nie urodziłam się majątną panią opływającą we wszelakie luksusy, a sława areny jedynie

ulotnie wpłynęła na mój umysł. Nie zakotwiczyła się we mnie idea bycia wielką gladiatrix. Ot byłam wojowniczką areny, a potem i to przeminęło, jak wszystko. Jak wspomina przewrotnie Etos: „nie puchnij zanadto z dumy, bo pęknieś”.

Smutek. Świat jest zjawiskiem złożonym z różnorodności, a jego główną cechą jest zmienność. Jedynie ktoś, kto tego nie rozumie, może na dłużej zapadać w smutek. Ktoś taki może naprawdę wierzyć, że dzień nie nadejdzie po nocy, a po ciemności światło. Lecz to nie jestem ja. Przygnębienie nigdy nie weźmie mnie dłużej w swoje władanie. Jak mówi Etos: „smutek jest głuchym i ślepym głupcem na niezmierzone bogactwo świata”.

Zdrada. Jestem wierna temu, w co wierzę, odkąd pamiętam. I w mej naturze nie jest knuć skrycie za plecami, by zdradziecko wbić nóż w plecy przyjaciela. Wierzę w szczerą intencję i płynącą z tego prawość poczynań. Nie jestem i nie byłam zdrajczynią. Bo jak powiada Etos: „zdradzając, odzierasz swe człowieczeństwo z aspektu boskości”.

Kłamstwo. Ten grzech musiałam popełnić w swoim ostatnim życiu i to dlatego jestem teraz niemową. A co za tym idzie, tej przewiny szczególnie powinnam się wystrzegać. Na szczęście w swym obecnym istnieniu nie dostrzegam swej skłonności do kłamstwa i takowego jeszcze nie popełniłam. Choć mam wrażenie, że niemal wszyscy wokół mnie wykazali się przeinaczaniem prawdy, by zataić swe różnorodne czyny. Jak rzecze Etos: „prawda jest pokarmem Bogów, a kłamstwo napitkiem demonów”.

Mściwość. Na te słowo oraz to, co ze sobą niesie, przeszywa mnie dreszcz niepokoju. Tak, ziarno pragnienia zemsty już we mnie zakiełkowało wraz z zamordowaniem moich rodziców. Natomiast przez nikczemne otrucie Rodena przez cesarżową Tirę to ziarno przeistacza się w trującą roślinę, która już rodzi swoje owoce. Dziecko Adory zostaje podstępem uśmiercone i aż czuję, słyszę to we mnie, te wołanie o pomstę. I co też z tym pocznę?

Tak, wiem, to nie tak miało być... Jednakże w obliczu tego, co się wydarza, nagle zupełnie nie obchodzi mnie, czy zawodzę. Nie obchodzi mnie nic poza tym, iż nie bacząc na wszystko, zemszczę się... i to srogo, nie zważając na me przekleństwo, posłannictwo, na nic!

A co na to sam słynny Etos? Nie interesuje mnie to, ponieważ co mogą znaczyć dla mnie słowa człowieka, który w ogóle nigdy nie istniał? To właśnie wyznaje mi ostatnio Gabu, że ta niezwykła postać została zwyczajnie wymyślona.

Choć jedna z przypisywanych Etosowi sentencji idealnie podsumowuje moje własne wszech istnienie: „dążenie do absolutnej doskonałości jest utopią, która najpewniej ziści się jako prawdziwa katastrofa”. Tak, to właśnie me prawdziwe przekleństwo – nakazanie sobie i innym życia nieskazitelnego, czegoś, co ni jak nie przystaje do ludzkiej czy boskiej natury i kłóci się z nią bezwzględnie.

*

Nie ruszam się z miejsca i pozostaję w dotychczasowym obozowisku na granicy z królestwem Saladior. Jedyne, co czynię, to w cztery strony świata wysyłam posłańców. Jako jedna z władczyń Pendorum zwołuję naradę pięciu zakonów i z góry zaznaczam, że nie będę tolerować odmowy. Najwyżsi przedstawiciele wszystkich zakonów muszą się stawić przed moim obliczem!

Wielcy mistrzowie przybywają, a ja spotykam się z nimi samotnie na wzgórzu w pobliżu mego obozu. Stają oni w równym rzędzie, a ja naprzeciw nich. Wśród obecnych są dwie znane mi osoby. To Hamri z Zakonu Łuku i Strzał Srebrzystej Łani, która najwidoczniej awansowała na wielką mistrzynię oraz Gorl przywódca Zakonu Topora Zielonego Niedźwiedzia. Pozostała trójka to obce mi twarze, ale nie ma to znaczenia. Zakony Miecza Białego Psa, Buławy Czerwonego Lwa oraz Lany Czarnego Orła, one wszystkie muszą być po mojej stronie, to jedyny sposób, aby pokonać cesarzową Tirę.

– „Nie kłaniajcie mi się, ja nie kłaniam się wam” – gestykułuję. – „Nie czas na ceregiele. Zaś tu, na tym wzniesieniu, wszyscy jesteśmy sobie równi, jesteśmy sobie bratem i siostrą, albowiem jednoczy nas ten sam szczytny cel. Każdy z zakonów powstał z nicości po to, aby strzec prawych idei: siły, odwagi, honoru, świętości oraz miłości. To nadrzędne zasady, które powinny kierować światem, aby nastał w nim należyty pokój i ład. Lecz oto na horyzoncie najwyższej władzy Pendorum pojawia się ona, zmija, która swym jadem zatruwa kontynent, sprowadzając na niego samo

zło. I jeżeli wspólnie nie przeciwstawimy się tyranii cesarzowej, wkrótce nie będzie już zakonów, jakie znamy, zmieniają się tak, jak ulegli zmianie Bogowie Pendorum. Oni ulegli wizji wiecznego konfliktu i walki, tak samo, jak Tira, która będzie nieustannie prowadzić swój bój o pomnażanie wpływów i władzy. Pozostanie więc na Pendorum tylko jedna, okrutna idea, a mianowicie walki, przed którą będziecie musieli ugiąć swe kolana i się dostosować, wyrzekając się wszystkiego innego, co jest wam drogie. Ponieważ prawdziwe idee zakonów odejdą bezpowrotnie w niebyt, gdy nie będą służyły tej, w której zdradzieckie ręce oddana zostanie cała władza. Nie możemy pozwolić, aby nastąpiła absolutna tyrania i mrok”!

– Kim jesteś, aby zwracać się do nas w ten sposób? – zapytuje nad wyraz spokojnie wielki mistrz zakonu Avenedora z Saladior.

– Jest ona nieprawą władczynią wymyślonego władztwa – odpowiada lekceważąco przywódca zakonu Arezara z Terraticos.

– Jest kłamliwą, ukaraną przez Bogów niemową, która szarga świętość, podając się za mityczną Anreę... – cedzi drwiąco przez zęby wielki mistrz zakonu Boga Biramond z Precis.

Hamri oraz Gorl, przedstawiciele pozostałych, dwóch zakonów jedynie patrzą na mnie ze zrezygnowaniem.

Nastaje cisza, gdzie czuję się coraz bardziej bezradna. Aż w przestrzeni rozlega się głos Zana. Drogi mi mężczyzna właśnie wkracza na wzgórze i klęka zwrócony do mnie, po czym podniosło oświadcza:

– Pokłon tej, od której wszystko wzięło swój początek, Bogini Matce. Pokój i oddanie tej, która kiedyś przejdzie przez świat bez grzechu. Pokój, oddanie, oraz me życie jedynej, za której sprawą można scalić kontynent Pendorum w trwałej harmonii. Pokłon tej, od której wszystko wzięło swój początek i na której wszystko się zakończy. Pokłon mitycznej Anrei... – Zakonnik wbija swój miecz w ziemię i kłania mi się nisko.

Wobec jego słów rozlega się głośny, bezczelny rechot wielkiego mistrza Zakonu Lancy Czarnego Orła. Gdy wtem słońce na niebie zostaje zasnutę niebotycznymi skrzydłami gigantycznego ptaka, który porywa w swe szpony sztychającego zakonnika. Unosi go wysoko i, mimo że ten jest w ciężkiej zbroi, rozrywa go w mgnieniu oka na strzępy. Jednocześnie z czterech stron świata daje się słyszeć doniosły ryk lwa, przytłaczający

skowyt łani, groźne porykiwanie niedźwiedzia oraz wściekłe ujadanie psa. Dźwięki te z każdą chwilą się przybliżają, a cała ziemia zaczyna drżeć.

– „Dość”! – gestykuluje gwałtownie, a moje oczy się rozświetlają tak oślepiającym światłem, że cała okolica dosłownie tonie w zniewalającej poświacie. Zaraz mój wzrok powraca do naturalnego stanu, a także milkną budzące trwogę odgłosy zwierząt i pozostaje wyłącznie absolutny spokój.

Spoglądam na pozostałych przy życiu czterech przywódców zakonów i widzę, że każdy z nich klęczy teraz z nisko pochyloną głową, a przed sobą mają wbitą w ziemię broń.

– Anreo... – odzywa się do mnie Zan. – Wszystkie zakony są na twoje rozkazy. Natomiast nowy wielki mistrz zakonu Biramond również dowie się, co tu zaszło i odda ci pod twe usługi całą swą siłę. Osobiście będę sprawował nad tym pieczę.

Na te słowa kiwam na zgodę głową i dumnie schodzę ze szczytu góry.

*

Wyruszamy na śmiertelny bój o krainę Pendorum. Tam, gdzie Allearzy stawiają opór przeklętej Tirze, tam i my się stawimy, aby zgładzić jedyne, prawdziwego wroga – tyranię i jej uosobienie – cesarzową.

Wielcy mistrzowie zakonni dotrzymują danej mi obietnicy i z czasem dołączają do mnie ich oddziały, w tym także zakonnicy Biramond wezwani przez Zana. Tak oto jadę konno na czele moich pięciuset żołnierzy i drugich pięciu setek potężnej, opancerzonej jady zakonnej – siły, której nic się nie oprze.

Po drodze nikogo do siebie nie dopuszczam i z nikim nie rozmawiam. Czuję, że czas do bitwy muszę spędzić jedynie sama ze sobą oraz moimi myślami. Pragnę spojrzeć na własne istnienie, to jak przeżyłam swe życie, czego zdołam do tej pory dokonać i kim się obecnie stałam. Chcę odpowiedzieć sobie na pytania, co mną od zawsze kierowało i co na ten decydujący czas jest moim głównym drogowskazem. Zaś wszystkie te przemyślenia scalają się w jedność, a jest nią niepohamowane pragnienie zemsty. Nie panuję nad tym i nie znajduję w sobie żadnego zaczepienia, abym odstąpiła od tego zamiaru, jest on we mnie wręcz niezłomny.

Tak, winni zostaną ukarani tymi oto dłońmi, które przez lata nieustannie ćwiczyłam tylko do jednego – bezwzględnej walki. I nie dbam o przyszłość, bowiem całą sobą jestem tu i teraz, to mnie określa. Uczucia przenikają mój umysł, wyznaczając moje działanie, które nie może być odmienne – nieprawa władczyni niebawem zginie, a konać będzie w swej krwi oraz mym zimnym gniewie.

Widzę ją, wiedzę niemal bez przerwy, gdy co raz rozświetlam swe oczy i niczym gończego psa, puszczam przodem mego wyzwolonego ducha. Dostrzegam kobietę obecnie o niezwykle potężnej posturze i z wiecznie zadartą dumnie głową. Cesarzowa niesiona jest w zdobnej lektyce na swym tronie. Kobięcy strój i ozdoby są doprawdy niezwykle i odzwierciedlają kulturę pięciu władztw Pendorum, podobnie jak misterne tatuaże na dłoniach. W ten sposób przeklęta Tira pretenduje do miana mitycznej Anrei, prawej spadkobierczyni kontynentu. Lecz o ironio losu, to właśnie mityczne Anrea ją wkrótce pokona w akcie swej zemsty.

Rozpoczyna się decydujące starcie, które jest dla mnie niczym ożywcze tchnienie wiosny. Na rozległej równinie nieprzebrane zastępy cesarzowej toczą zacięty bój z Allearami. Jednak tylne oddziały wrogich mi, połączonych sił Pendorum już czują na swych plecach zimne tchnienie śmierci. Odwracają się na rozkaz i przyjmują szyk obronny, zupełnie jakby mogły wzniesionym orężem ocalić siebie i cesarzową. Otóż nie, nie mogą.

Rozpościeram szeroko ramiona, a konnica zakonna rozstawia się szeroką ławą. Za nią zaś reszta mych przywiedzionych tu wojsk. Następnie unoszę ręce i energicznie wskazuję nimi w kierunku wroga. A za chwilę już gnam galopem na spotkanie mego przeznaczenia w towarzystwie niezwycięzonych zakonników. Świadomie oddalam się od Zana i daleko za sobą pozostawiam swych kompanów. Cały czas bowiem czuję, że w mej odwiecznej walce, u jej zwieńczenia, powinnam być sama, zupełnie jakbym dodatkowo musiała stoczyć bój również ze sobą.

Wtem w wyniku frontalnej szarży zakonnej konnicy na pozycje wroga dochodzi do morderczego starcia. Pierwsze szeregi pieszych przeciwników zostają stratowane i dosłownie wgniecione w ziemię. Kolejne wyrzucane są zarówno w powietrze, jak i na boki, a także lądują pod obleczonymi stałą brzuchami rumaków. Zorganizowany szyk wojsk cesarzowej zostaje rozerwany na strzępy i rozpoczyna się prawdziwa rzeź na równinie.

Sama nie angażuję się w walkę z prostymi żołnierzami, tylko przedzieram ile sił do centrum rozgorzałej bitwy, gdzie w otoczeniu swej gwardii stacjonuje nienawistna mi Tira. I oto jest – ukazuje się stojąca dumnie z buławą w dłoni na tle swego masywnego tronu. Zaś drogę ku niej zasłania mi pięciu pieszych gwardzistów. Każdy w ciężkiej, srebrnej zbroi i z pełnym hełmem imitującym dane zwierzę, kolejno rogatą łanię, drapieżnego ptaka, lwa, niedźwiedzia oraz psa. Więc mam przed sobą symbole mych boskich dzieci, ale nie jest to dla mnie żadną przeszkodą. Zeskakuję z rumaka, dobywam miecze i bez strachu ruszam do boju!

Pierwszy atakuje mnie długim ostrzem gwardzista z hełmem psa. Krzyżuję z nim oręż, a z tą chwilą me oczy się rozświetlają i z łatwością odpycham wrogą klingę, po czym potężnym uderzeniem wręcz miażdżę stalowy hełm. Natomiast w otwór na oczy wbijam drugie ostrze nagle nasyczone wodnistą czerwienią, która spływa po klindze jak rzeka.

Unoszę miecze i od razu wymierzam wściekłe ciosy w opancerzony tors gwardzisty z hełmem niedźwiedzia. Pozostawiam głębokie wgniecenie na stali i zdecydowanie napieram naprzód. Uderzam od dołu w topór z taką siłą, że ten zostaje wręcz wystrzelony w powietrze. I nie czekając, spuszczam oba miecze na opancerzoną czaszkę przeciwnika, miażdżąc ją. Gwardzista pada na kolana, a z otworów na oczy wylewa się, niczym z czerwonego wodospadu, czerwona posoka.

Z każdym następnym trupem me oczy zaczynają coraz mocniej lśnić, co jeszcze wzmacnia mą nieposkromioną moc i furię! Dlatego ostatnich trzech gwardzistów pokonuję z jeszcze większą łatwością, masakrując ich obleczone stalą ciała, krojąc je i zaprawdę nie odczuwam żadnej litości!

Tak oto stoję przed obliczem samej cesarzowej Tiry, którą zasłania sobą Pajos. Lecz jedno moje spojrzenie w jego oczy sprawia, że nikczemnik porzuca swój oręż i w panice ucieka. Nie zwracam na tego karalucha uwagi, tylko cały czas spoglądając na Tirę, przezbrajam się w łuk i wystrzeliwuję jedną strzałę. Kątem oka dostrzegam, że trafia Pajaka prosto w twarz. I nikt już nie oddziela mnie od cesarzowej, jestem naprzeciw niej, jako czysty gniew i pragnienie pomsty. I zaraz zabiję ją!

Tak, wiem, co to oznacza w moim obecnym i przyszłym wcieleniu. Nie zjednoczę kontynenty Pendorum i zapewne odrodzę się jako kaleka bez

dłoni. W pamięci staje mi obraz mnie samej z niegdysiejszego snu, postarzałej oraz pozbawionej górnych kończyn. I teraz rozumiem, że to wizja, która dotyczy zapewne zarówno mej przeszłości, jak i przyszłości. Lecz nie dbam o to...

Za twoje grzechy! – krzyczę w duchu i zamaszystym ruchem miecza odcinam cesarzowej dłoń, w której dzierży buławę.

Za twoją podłość wobec ludności Pendorum! – Pozbawiam ją drugiej dłoni.

Za syna Adory i rzesze cierpiących niewolników! – Rozpruwam jej ostrzem wnętrzości i pada ona na kolana. A wtedy z nienawiścią unoszę miecz i bezgłośnie krzyczę:

– Za twoje kłamstwa! – Po czym przez otwarte usta umieszczam ostrze głęboko w gardle przeklętej cesarzowej Tiry. Następnie odkopuję z pogardą zmasakrowanego trupa w wykwintnych szatach. I czuję wręcz niewysłowioną ulgę, zupełnie jakbym symbolicznie zabiła samą siebie z minionych tysięcy lat. Czy taka właśnie byłam, jako wszechmocna Bogini, pełna tyranii? To już nie ważne, to już przeszłość, jest już po wszystkim – powtarzam sobie w duchu. Chociaż jak się zaraz okazuje, nie jest to do końca prawdą, albowiem przeszłość wciąż tu ze mną jest, a w każdym razie jej istotna część.

Oto z za tronu wychodzi nie kto inny jak sam Abezzal w zakonnym pancerzu bez hełmu. Spogląda od niechcienia na truchło cesarzowej, potem na mnie i czyni to w identyczny sposób, z nieskrywaną drwiną, jak wówczas, gdy zabijał mych rodziców. W odpowiedzi ma już za chwilę mój miecz przy swym gardle. Wtedy nieoczekiwanie klęka przede mną, czyniąc to wciąż z tym samym szyderczym uśmiechem i przenikliwym spojrzeniem stalowych oczu. On! Mój mąż! Abezzal!

Za moich rodziców – myślę i nacinam mu szyję. Krew zakonnika obficie ścieka po srebrnym pancerzu, a on sam unosi brodę, bym zwieńczyła swe dzieło.

Ale nie, nie zrobię tego... Raptem zabieram z powrotem miecz. Abezzal patrzy na mnie z politowaniem, ale to już się stało. Po raz pierwszy nie skorzystam z okazji i nie zabiję go. I zaraz dostrzegam, że nie zauważyłam, że mój mąż ma wymierzony w me serce własny miecz.

Więc tak to się zawsze odbywało? W ten sposób od tysięcy lat nieustannie nawzajem się zabijamy? – myślę tak i odrzucam me ostrza, pozostając bezbronną. Czekam na śmiertelne pchnięcie, ale ono nie nadchodzi. Zamiast niego pojawia się zrozumienie. Mszczę się sprawiedliwie na cesarzowej Tirze za jej oczywiste grzechy wobec niewinnych – dzieci Pendorum i czynię to w ich imieniu. Tym samym zapobiegam też największemu złu, absolutnej tyranii. Jednakże równocześnie dojrzewam do tego, aby pohamować swą osobistą wendetę. Tak, śmierć Abezzala byłaby tylko dla mnie, ale... już jej nie potrzebuję...

Wokół mnie wciąż trwa mordercza bitwa, lecz nagle odczuwam, że to już nie moja walka. Raptem odnoszę wrażenie, zupełnie jakby mnie tu nie było i niebawem rzeczywiście jest już daleko stąd.

Samotnie odjeżdżam konno w kierunku dalekiego oceanu. A kiedy osiągam jego brzeg, wsiadam na statek, który bezpowrotnie zabiera mnie stąd. I tak kończy się mój byt w krainie Pendorum. Wygrywam, choć również odnoszę porażkę, dlatego nie mam prawa tu dłużej trwać.

Rozumiem też teraz inaczej moje obecne imię – Matka Cień. Dociera do mnie, że do te pory, jako Bogini, nie byłam prawdziwą matką – byłam jej cieniem. Bowiem nie można bezwzględnie karać swych dzieci za ich własną, ułomną naturę, która jak się okazuje, jest także moją naturą. Dlatego wybaczam wszystkie przewiny i we wszystkich czasach, a me przebaczenie kieruję do każdej skrzywdzonej przeze mnie istoty. Tylko w ten sposób mogą nastać w przyszłości prawdziwe zjednoczenie i pokój.



EPILOG

Po długiej, morskiej podróży powracam na swą rodzinną wyspę i odnajduję miejsce, gdzie stała niegdyś wioska, w której przyszłam na świat. Na zastany widok lekko się uśmiecham. Są tu nowi osadnicy, osoby, których nie znam. Stawiają oni domy i zagrody dla bydła oraz obsiewają nieuprawiane od dawna pola. A ja ofiarowuję im swoją pomoc, jak również ochronę.

W ten sposób przyłączam się do nowej społeczności i w prostym życiu odnajduję spokój. Każdy dzień upływa mi na ciężkiej pracy przy budowie i w polu. Natomiast wieczorami poluję na dziczyznę, której jest w okolicznych lasach pod dostatkiem.

Aż kiedy powracam z jednego z takich polowań, z sarną zarzuconą na barki, u wejścia do wioski zastygam ze zgrozą. Bolesne wspomnienia naraz tak szybko powracają na widok tego, co zastaję, a są to zmasakrowane ciała i wszędobylska krew.

Porzucam upolowane zwierzę i z zimnym sercem kroczę pomiędzy zwłokami. Lecz zupełnie niespodziewanie moje chłodne serce rozgrzewa się. Oto bowiem zauważam, że wszystkie trupy należą do obcych przybyszy, rabusiów. Zaś naprzeciw mnie wychodzi nie kto inny, jak Zan z zakrwawionym mieczem, którym ratuje mieszkańców.

Zaraz tonę w ramionach zakonnika, tulę się do niego tak mocno i jest mi tak dobrze, jak jeszcze nigdy dotąd. Spoglądam w oczy tego niezwykłego mężczyzny i niemal beztróska uśmiecham się. On z kolej oznajmia, że przybywa tu, aby spędzić ze mną resztę życia. Na co gestykuluję, że wiele mi go już nie pozostaje.

Wskazuję na moje wytatuowane udo, gdzie w miejscu, na którym zmieściłaby się dziesiąta czaszka, jątrzy się trupią zielenią ropiejąca rana.

To efekt realizującej się za życia klątwy Anrei za zabicie w zemście cesarzowej.

Wyjawiam Zanowi, że pozostał mi może rok życia, nie dłużej.

Lecz on powiada, że przy mnie czas się nie liczy. Prawi, iż każda chwila istnienia ze mną znaczy nieskończoną ilość innych chwil. I oświadcza, że pragnie zostać moim kochankiem i nie lęka się swej śmierci z powodu klątwy za miłość ze mną. Albowiem nasza wieczna miłość może pokonać każde przekleństwo.

Godzę się i przez kolejny rok mego życia jestem naprawdę szczęśliwa. Szczęście – tak, doprawdy poznaję, co znaczy głębia tego uczucia. Natomiast po roku, strawiona gorączką, umieram w ramionach ukochanego, który do końca jest ze mną.

Tak, zgadza się, nie udaje mi się zjednoczyć mego kontynentu. Jednakże odchodzę bez żalu, ponieważ bynajmniej nie zapominam o Pendorum i jego mieszkańcach, mych dzieciach, skazując je na wieczny podział, wojnę oraz udrękę.

Otóż to, czego ja nie zdołałam dokonać, uczyni on – Avezan. Owoc miłości mojej i Zana – dopiero co narodzony chłopiec z imieniem na cześć dwóch mężczyzn w moim życiu, dla których otworzyłam swe serce i nie bałam się kochać.

To Avezan, mój syn, gdy dorośnie, zjednoczy Pendorum, tak mu to na łożu śmierci przepowiadam.

Zaś ja, Matka Cień, mityczna Bogini Anrea? Co dalej ze mną? Wszak moja historia się tutaj jeszcze nie kończy...

CDN

POSŁOWIE

„Wędrujemy w podróży zwanej życiem, spotykając wielu ludzi. Jednych ledwo zauważamy, lecz niektórzy są jak piorun, przykuwając naszą uwagę. Mason Purcell, aka Fawzia dokhtar-i-Sanjar, należała do tych drugich. Można było ją kochać lub nienawidzić, lecz nigdy ignorować. Mason jest moją przyjaciółką. I jestem dumny, że mogę ją tak nazywać. Wymienialiśmy się opowieściami z naszego życia, śmialiśmy się wzajemnie z naszych historii i dzieliliśmy lęki i frustracje, które życie nam przynosi. Jednak życie ma okropny zwyczaj wrzucać w tragiczne sytuacje ludzi, którzy najmniej na nie zasłużyli, jak zła karciana ręka, musimy jakoś zagrać takimi kartami, jakie mamy. Przyjaźniąc się z Mason, w końcu dowiedziałem się, że dostała złą kartę. Rak, z którym walczyła przez ostatnie pięć lat, ostatecznie zabierze jej życie w tym tygodniu, wcześniej czy później. Kiedy to piszę, hospicjum oraz jej mąż robią wszystko, żeby te ostatnie godziny jej życia były jak najmniej bolesne. Co się tyczy was, graczy *Prophesy of Pendor*, to że wersje 3.x oraz na WB powstały z powodu jej chęci, żeby się tym zająć i pracować nad tym, co dawało jej powód do życia, mimo bólu i cierpienia, które wytrzymywała ostatnie dwa lata. Choć to ja dałem wizję i zamysł, jak ma wszystko wyglądać, to Mason miała serce i duszę do tego, aby uczynić to realnym. To dlatego, wersja po wersji, dedykowałem pracę jej, jako wyraz wdzięczności i uznania dla tego, co wniosła do naszej pracy, a ostatecznie, co dała wam, wielu graczom, którzy graliście i polubiliście *Prophesy of Pendor*. Jej zapewne całkowicie nie podobałoby się te publiczne wyrazy uznania i skrytykowałyaby mnie za napisanie tego, ale wtedy powiedziałbym jej, że to nie jest dla niej, lecz o niej. O tym jak się stała siłą, która zmieniała innym życie. O uznaniu tej części życia, która miała znaczenie, tego, że jej praca i pasja miały ogromną wartość, której nie da się zmierzyć, dla wielu ludzi w różnych częściach świata.

*Dziękuję Ci Mason. Dziękuję za wszystko. Z wyrazami szacunku,
Saxondragon”*

Spis treści

I. WOJNA Z CESARSTWEM TERRATICOS

II. WOJNA Z KRÓLESTWEM SALADIOR

III. WOJNA Z CHANATEM PRECIS

IV. WOJNA Z KONFEDERACJĄ FAVERS

V. WOJNA Z KSIĘSTWEM RAZZINAL

VI. WOJNA O PENDORUM

EPILOG

POSŁOWIE